

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



4

(97) 2019

Prof. Rafał Żebrowski o Zbigniewie Herbercie ♦ Paweł Brzegowy o Uniwersytecie Trzeciego Wieku we Lwowie
♦ Franciszek Haber o ulicy Batorego ♦ Karolina Grodziska o świątecznych przepisach kulinarnych

Idą święta!

Boże Narodzenie! Pięknie ustrojone drzewko, świętujemy! Intensywne stukanie do drzwi... Albo głośny dzwonek. Otwieramy, a to szopkarze! *Można zakolędować?! –* pytają. *Czemu nie! Zapraszamy!* Przecież to święta Bożego Narodzenia! I wchodzą z szopką i śpiewają *Wśród nocnej ciszy*, odgrywają opowieść bożonarodzeniową... Dzieciaki słuchają z wypiekami na twarzy, maluchy trochę przestraszone z ciekawością spoglądają na przebierańców... Pewnie już nie ma takich kolędników, szopek, emocji... Ten nasz świat jest już inny i chyba nie mamy ani takich oczekiwań, ani nawet o tym nie myślimy; trochę żal... Przecież szopka istnieje w Polsce przynajmniej od II połowy XVII wieku.

Marek Waszkiel, w tekście zatytułowanym *Szopka* pisze, że Związek Teatrów i Chórów Ludowych we Lwowie, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, zorganizował specjalny zespół szopkowy, który – od 1926 roku aż do wybuchu II wojny światowej – w czas kolędowania objeżdżał Wołyń i Polesie, prezentując tradycyjną szopkę w układzie Tadeusza i Stanisława Estreicherów. W tym zespole debiutował słynny później jalkarz – lwowianin – Stanisław Iłowski (zmarł w 1978 r.).

Zanim jednak kolędnicy dotarli z szopką, tak jak i dzisiaj, zapalano światła na choince, łamano się opłatkiem, spożywano tradycyjną wieczerzę wigilijną, śpiewano kolędy i wędrowano na pasterkę do świątyni... Do Bernardynów, katedry, a może Jezuitów... *Bóg się rodzi, moc truchleje* – grzmiało radośnie we Lwowie. *Lulajże Jezuniu* – śpiewano nostalgicznie na Kresach. *Cicha noc, święta noc* pełna tajemniczości trwała dawniej znacznie dłużej... Nawet zwierzęta mówiły wtedy ludzkim głosem, a może to my przez chwilę chcieliśmy zrozumieć, co mówią nasi czworonożni przyjaciele?

Kto mi to opowiadał?... 24 grudnia 1974 roku: z kawiarni Europejskiej w Krakowie pan Stanisław, nieco wstawiony, wytoczył się wprost pod koła taksówki. Była wolna. Wsiadł. Kierowca spojrział na niego, w oczekiwaniu dyspozycji. *Na Łyczakowską 56, proszę... Adaśku czeka. Wybełkotał. Kierowca się roześmiał: – Ta panie, ta my w Krakowie, nie we Lwowie... Moi z wilią na Batorego czekaliby... –* rzekł nostalgicznie. *– To gdzie mam pana zawieźć? –* zapytał już ze smutkiem w głosie. *– Na Azory jedź pan... –* rzekł zrezygnowany pan Stanisław.

Łamiąc się z Państwem opłatkiem, życzę wszelkiej pomyślności, błogostawieństwa Bożej Dzieciny, samych radosnych i dostatnich dni upływających w zdrowiu i szczęściu! Kolędujcie, odwiedzajcie się wzajem w świąteczny czas i czytajcie kwartalnik *Cracovia–Leopolis*.

Gdy kolędnicy otrzymali zapłatę od gospodarzy, wychodząc z domu czy mieszkania, śpiewali:

*Za kolędę dziękujemy!
Zdrowia, szczęścia winszujemy
Na ten Nowy Rok;
Bądźcież Państwo szczęśliwemi,
Oraz błogostawionemi
Na ten Nowy Rok!*

Janusz M. Paluch

Jerzy Masior

Lwowska kolęda łyczakowska

muzyka: Kazimierz Wesołowski

Pamiętasz śnieg, ten śnieg łyczakowski,
i zmierzch, co gwiazdę świecił na rogu Wójtowskiej?
Z tą gwiazdą od Krupiarskiej, Piotra, z Paulinów
naniósł kolęd w basach i pisków wiolinów.
Tam trąbek jazłowieckich srebrzyste wygrywanie
i zewsząd naszych, lwowskich kolęd śpiewanie.
Batiarskie „Bóg si rodzi” z placu Antuniego,
gdzie bije serce Lwowa ukochanego.

Kolęda stąd „jedynką” ruszała pod górę
do Matki Ostrobramskiej obłokiem lub chmurą.
Dziecinę tam batiary serdecznie obsiędą,
by lulać Ją najśłodszą ze wszystkich kolędą.

A gdy zima już będzie śnieżna,
Gdy się gwiazdy wysrebrzą od nowa,
Pojedziemy w podróż serdeczną:
Z kolędami ruszymy do Lwowa.

Zabierzemy ze sobą skrzypce,
Smyczek srebrny i nuty pamięci,
Uwerturę zagramy Dzieciątku
I walczyka na rozpoczęcie.

A to będzie walczyk-kolęda, Maleńkiego w niej utulenie,
To muzyka będzie najczulsza jak lwowskiego śniegu skrzypienie.





Krystyna Angielska

Kolęda Lwowska

muzyka: Igor Iwanow

W piękną noc grudniową rodzi się Bóg-Dziecię,
A nad Lwowem gwiazdka wigilijna świeci.
Lu-li-lu maleńki, skarbie nasz najdroższy,
Prześliczne Dzieciątko, Panie nasz najśłodszy.

Nie bój się, Dziecino, białej, mroźnej zimy,
Ciepłem naszych spojrzeń Ciebie otulimy.
Lu-li-lu...

Ogrzujemy rączki Twe pocałunkami,
Tęskną kołysankę cicho zaśpiewamy.
Lu-li-lu...

Dźwięki jej popłyną na Wysoki Zamek,
A Ty słodko uśniesz na kolanach Mamy.
Lu-li-lu...

Mariusz Olbromski

Bóg się rodzi...

Zmierzcha już w mieście Słowackiego
I pierwsza gwiazda wnet zaświeci.
Księżycą strażnik srebrny i ogromny
Po murach Góry Bony powędruje
W domach rozlegną się kolędy.

Ta Karpińskiego, – „Bóg się rodzi”...
Przeniknie serca czystą radością.
W niejednym domu krzemienieckim
Błękitnym polonezem zabrzmi,
Dostojnym rytmem znów zagodzi.

Przez tyle wieków tutaj tak śpiewano...
Przedwieczne przypomnienie...
Szły lata, pokolenia, pachniały choinki
I ogień krzepł w ludzką Kruszynę.

Mariusz Olbromski

Pastorałka krzemieniecka

Lulajże, malusi Jezuniu, lulaj
W mieście już zamarł wszelki ruch.
Wśród ciszy gwiazdnych wzgórz
Matulu go utulaj, bo sypie śnieg
Jak diament chrzęści pod stopami
I chwyta wszystko tęgi mróz.

Lulajże, Jezuniu, w kolebusi, lulaj,
Nim uśniesz rączkę swoją wzniesł.
Błogosław ludziom i zwierzętom
Wzgórzom, wszystkiemu wokół,
Nadzieję, miłość w sercach wskrześ.

Zaśnij, Dzieciątko, gdy twój sen
Kołysze piękno wielu kolęd:
Tony wskrzeszone z czystych serc.
W kręgach latarni lecą płatki wolno
I tańczą lekko jak skrzydła aniołów:
Wiruje, skrzy się czysty śnieg.

Pierwsza Akademia Zbigniewa Herberta

Wagę prymicji edukacyjnych trudno przecenić, bo jeśli na początku znacznie się tonąc w oceanie wiedzy, to smaku do niej się mieć nie będzie. A szkoła w warunkach Galicji doby autonomicznej była potęgą i źródłem dumy Galileuszy. Toteż – jak powszechnie wiadomo – Rzeczpospolita Odrodzona opierała się na fundamentach kadr z byłego zaboru austriackiego. Jednak nie powinniśmy tak bardzo cukrować sobie jego rządów habsburskich. Placówki edukacyjne, zwłaszcza te początkowe, niemal do 1870 r. miały się bardzo źle. Istniejącą tu sieć szkół parafialnych przekształcono rychło w „uczelnie” – co najwyżej – trywialne. Choć termin ów wywodzi się ze średniowiecznych uniwersytetów, to jednak nie myli nas współczesna intuicja semantyczna, odbierająca mu wszelki wdzięk. Zdominowała je bowiem niemczyzna i to początkowo od drugiej, a rychło i pierwszej klasy, zniechęcając ich potencjalnych adeptów, zaś zakres „wykładanych” przedmiotów, warunki lokalowe, metodyka i właściwie wszystko inne było tak okropne, iż tylko brakowi ludzi mogących się pochylić nad tą mizerią i oddać dramatyczny stan sprawnie dzierzonym piórem przypisać należy, iż niedole edukacyjne w pozostałych zaborach są bardziej znane.

Wszystko to miało zmienić dobitnie się autonomii. Właśnie szkoły stały się oczkiem w głowie miejscowych statystów. Królewskie miasto Lwów, przy ogromnej skali różnego rodzaju zaniedbań, z iście monarszym gestem zajęło się sprawami oświaty powszechnej, ogólne reformy wspierając skutecznie, ale i wznosząc budynki świątyni edukacji początkowej. Nie inaczej też było w okresie Rzeczpospolitej Odrodzonej, na który przypadło dzieciństwo przyszłego Poety i jego siostry, a mojej nieodżałowanej pamięci Matki. Nie wchodząc we wszystkie spory, szkołom poświęcano wówczas wyjątkowo dużo uwagi. Dość powiedzieć,

że przez całe międzywojnie budżet przeświatnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oscylował w okolicach ¼ wydatków państwa, a było ono całkiem biedne. Dodać do tego wypada fakt, iż kraj wchodził w swą niepodległość potężnie zadłużony, a większość czasu gnębiły go kryzysy ekonomiczne i walutowe, jednak ekspensa obronne nie spadały poniżej 1/3 budżetu. Możemy się tylko napawać dumą z tego stanu rzeczy, a i młodzi Herbertowie też byli tego świadomi. Tym bardziej, że w setną rocznicę Konstytucji 3 Maja w Galicji powołano Towarzystwo Szkół Ludowych, jedyne w swoim rodzaju społeczne ministerium oświaty. W rodzinnym zaś mieście przyszłego Poety właśnie owego dnia pamiętki majowej ustawy i „odrodzenia w upadku” całe miasto żyło zbiórką na jego rzecz, do którego to szaleństwa żadne współczesne kolekty nie są podobne, z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy włącznie. Nie zdziwi więc Państwa, kiedy powiem, że pośród moich przodków panował zwyczaj określania preceptorów, nawet na najniższym stopniu edukacji biedzących się nad postępem intelektualnym dzieci, mianem profesorów. Dziś ta maniera wydaje się przesadna, ale właśnie w owym socjolingwistycznym zjawisku kryje się istotny ślad szacunku dla powołania nauczyciela, obecnie najczęściej bywającego zwykłym zawodem, wykonywanym bez specjalnego zapalu.

Początek edukacji starszej dwójki latorośli Herbertów miał przypaść w szczególnym czasie. Ich rodzina się ustabilizowała, znajdując „pomieszkowanie” w kamienicy położonej przy ul. Łyczakowskiej w górę od kościoła św. Antoniego, zaraz przy graniczącym ze świątynią małym targu. Siostra przyszłego Księcia Poetów poszła do szkoły w 1929 r., a więc nieco wcześniej niżli nakazywał obowiązek szkolny. Nie wiem, czy podobnie miało być z urodzonym późną jesienią Zbysz-

kiem. Wszakóż i mnie oddano pierwszym preceptorom w wieku lat sześciu. Nawet, jeśli się nad tym moi Dziadkowie zastanawiali, to szyki pokrzyżowało im pojawienie się kolejnego potomka. Januszek, najmłodsza latorośl, pojawił się na świecie w roku następnym. Był też największym z noworodków w tej rodzinie i mimowolnym sprawcą ciężkich niedomagań swej rodzicielki. W 1930 r. nie tylko nikt nie myślał o wysłaniu Zbyszka do szkoły, ale razem z siostrą na wakacje pojechali do Piwnicznej wraz z rodziną ciotki z Kalisza. Notabene także w tym roku po raz pierwszy nawiedzali Boże Groby wielkanocne bez opieki kogokolwiek starszego. Poza tym, co nie mniej ważne, nim pierworodny syn Herbertów miał podążyć w ślady siostry, ten padł też opuścił rodzice jego matki, Marii *de domo* Kaniak, Cristine (Krystyna) z Leniusów (1930) i Józef (1931), któremu zresztą Stwórca przed zgonem pozwolił zobaczyć najmłodszego wnuka.

Tak więc przyszedł Poeta w progi szkoły powszechnej św. Antoniego wstąpił dopiero w 1931 r. Wybór placówki był naturalno-pragmatyczny. Leżała ona o przystawiony rzut beretem od chawiry przy ul. Łyczakowskiej. Uczelnia owa wywodziła się ze szkoły parafialnej wspomnianego kościoła św. Antoniego. Być może powstała dopiero na przełomie XVII i XVIII w., bowiem wcześniej drewniany Łyczaków i także jego główna świątynia często płonęły, niszczone przez lwowian, by nie dawały schronienia nie raz pojawiającym się tu najeźdźcom. Potem dzieliła wszystkie niedole edukacji lwowskiej w okresie przedautonomicznym. Choć rozwinęła się przez utworzenie osobnej placówki żeńskiej (1855), na własną siedzibę musiały dwie bratnio-siostrzane szkoły św. Antoniego czekać do 1877 r., kiedy to wzniesiono ją kosztem miasta, za sprawą jego rajców. Natomiast znacznie różniej placówka dla niewiast stała się pełną czteroklasową szkołą ludową.

Zbigniew Herbert pozostawił nam wzruszające świadectwo swych pierwszych doświadczeń z twardych ław męskiej placówki św. Antoniego we Lwowie. W ostatnim tomie przezeń opublikowanym, którym żegnał się tyleż z Czytelnikami, co ze światem, a noszącym tytuł *Epilog burzy*, w końcowej jego części, w nieprzypadkowym sąsiedz-

two wierszy *Czas* z jednej i *Pępek* z drugiej strony, umieścił małe dziełko autobiograficzne pt. *Pan Cogito. Lekcja kaligrafii*. Aby nie wyjść przed Państwem na przesadnie czułościwego, śpieszę donieść, w jakiej sytuacji ów – niepozabawiony znacznej dozy żywego, acz i melancholijnego humoru – utwór został napisany. Poeta już od dłuższego czasu nie ruszał się z łóżka. Pośród wielu cierpień, jakich wówczas zaznawał, najważniejsza była niewydolność oddechowa, więc właściwie nie mógł funkcjonować bez tlenu dostarczanego mu przez rurkę bezpośrednio do nosa. Wszakóż nie był w stanie porzucić nałogu tytoniowego. Trudno uwierzyć, że w tej sytuacji mógł tworzyć, pisząc ręcznie, wsparty na lewym łokciu, z powodu nadwagi przypominający kurzącego papierosy wieloryba wyrzuconego na plażę łoża boleści. A jednak poruszający do głębi tom wierszy i... odleżyna na przedramieniu mówiły zgodnym chórem o sile poetyckiego powołania.

Rzeczony utwór jest bardzo konkretnie osadzony w doświadczeniu początków edukacji Herberta. Czytamy w nim bowiem: „... w klasie pierwszej / szkoły podstawowej / świętego Antoniego / siedemdziesiąt lat temu / we Lwowie // konkurs kaligrafii / Pan Cogito pobija rekord // najpiękniej napisał / literę b...”. Pozornie więc mamy tu do czynienia ze wspomnieniem, kreślonym co prawda lekkim piórem, jako się rzekło – w czas cierpienia, tylko te konkrety są jakby skandowane, by przetrwały w mrocznej nieskończoności, co zdaje się niepokoić. Ale nie tylko, bo przecież: dlaczego akurat „b”? Jeśli traktować ową literę jako znak graficzny, to trudno ją uznać za szczyt wyrafinowania, mniemany dowód na zręczność przyszłego zamilowanego rysownika. I w istocie... Tymczasem całą sprawę trzeba odnieść do fundamentów naszej kultury, bowiem *Lekcja kaligrafii* w oczywisty sposób stanowi kamień węgielny intelektualnej konstrukcji Pana Cogito, a może i wszelkiego cywilizowanego myślenia. To założenie prowadzi nas nieuchronnie ku *Biblii* i tradycjom judaistycznym. Tak jak litera „b” zajmuje drugie miejsce w alfabecie łańskim, tak odpowiadający jej „be(j)t” ma analogiczną pozycję w hebrajskim. Notabene sama nazwa owej litery oznacza po hebrajsku „dom”, a więc i zadowolenie w kulturze. Poza tym roz-

maite interpretacje i opowieści midraszowe wręcz wysuwają ją na czoło. Trzeba pamiętać o roli „pisma” w kulturze żydowskiej, z czego między innymi wynika i to, że litery miały swój udział w tworzeniu świata. Akt kreacji Stwórcy Wszelchrzeczy zaczął właśnie od wspomnianej „be(j)t”, co wywołało skargi pierwszego w alfabecie „alefu”, czyli odpowiednika „a”, którego nazwa odnosi się do „byka”, a więc nieokielzanych sił natury. Stało się tak, bowiem hebrajski odpowiednik naszego „b” zawiera w sobie dwa światy: doczesny i przyszły, co poniekąd odpowiada herbertowskiemu opisowi: „...wyniosła wieżę / i renesansowy brzuszek / b...”. Aby nie mnożyć symboliczno-erudycyjnych wywodów, dodajmy tylko, że od „be(j)t” zaczyna się cała *Biblia Hebrajska* i nazwa jej pierwszej księgi (*Be-reszit* = hebr. *Na początku*, czyli *Księga Rodzaju*) oraz samo Prawo Pisane, będące fundamentem judaizmu, czyli *Tora*, a także słowo *bracha* – błogosławieństwo. To są – moim zdaniem – właśnie istotne powody, dla których w *Lekcji kaligrafii* wszystko kręci się wokół litery „b”.

Trudno więc się oprzeć wrażeniu, że nauczycielka, będąca protagonistką wszystkich preceptorów świata Pana Cogito, też musiała mieć z nią związek, czy raczej – zostać nią naznaczona. Toteż w jej nazwisku ów znak pojawia się nawet dwukrotnie, co również nawiązuje do zawsze żywionej przez Herberta skłonności, by mówiąc o sprawach zasadniczych, od czasu do czasu bodaj przymknąć filuternie powiekę i puścić do Czytelnika tzw. perskie oko. Omawiany zaś wiersz, z jego udawaną podniosłością, pełen jest przecież autoironii, której towarzyszy poczucie bezpieczeństwa. Żartobliwy ton nie opuszcza Autora nawet, kiedy mówi o zagładzie świata, z którego się wywodził: „...wichry dziejów / pochłonęły bez reszty (...) a także / przez chroniczne roztargnienie / Panią Bombową...” – aż się prosi, by sobie dośpiewać, iż pani Bombowa została zbombardowana. „Wic” ten – mówiąc z lwowska – nie jest może nazbyt stosowny, ale jakoś przystaje do konwencji, a równocześnie mógłby po raz kolejny potwierdzać założenie, iż nazwisko użyte w analizowanym wierszu raczej nie ma nic wspólnego z realną postacią, która została nim obdarzona.

Takie to proste i zabawne, ale... nieprawdziwe. Nazwisko pierwszej preceptorki Pana Cogito jest jak najbardziej realne, a do szczegółów z tym związanych dotrzeć jest stosunkowo łatwo. Od czasu napisania książki *Zbigniew Herbert. Kamień na którym mnie urodzono...* nawet niespecjalnie się starając, ciągle natykam się na nowe fakty z tym związane i aż boję się przysiąc do pełnego oświetlenia tej sprawy, bo będę musiał poświęcić tej nauczycielce osobny artykuł monograficzny, broszurę lub... no, nie przesadzajmy. Wszakże nazwiska Bomba używał we Lwowie ród kolejarzski, a jego przedstawicielami byli w 1913 r. panowie Karol (ul. Bilińskich 22) i Stanisław (za rogatką gródecką 5 a). Obaj byli konduktorami¹, jednak, którego z nich potomkiem był Michał Bomba, tego na razie jeszcze nie wiem. Szedł on w ślady ojca i stryja, ale za sprawą coraz skuteczniejszej galicyjskiej edukacji zajmował już stanowisko urzędnicze. Poślubił on Janinę – nazwisko panieńskie na razie nie jest mi znane. Zapewne stało się to w 1915 r. Pani Janina urodziła się bowiem w 1895 r. Zapewne po ukończeniu seminarium nauczycielskiego zaczęła pracować w wyuczonym zawodzie, co by znaczyło, że kiedy opuszczała kuźnię lwowskich edukatorek, to swą przygodę w tejże szkole zaczynała przysła matka Poety, Maria Kaniakówna. Natomiast pani Janina po raz pierwszy stanęła przed swoją klasą 1 XI 1915 r., z tym że przepracowała na razie tylko jeden rok. Wokół szalała wojna, niedawno skończyła się rosyjska okupacja Lwowa, a owa ledwie ponad dwudziestoletnia kobieta pewnie urodziła swe pierwsze dziecko. Ten ostatni fakt jest czystym tworem wyobraźni, ale i bardzo prawdopodobnym. Natomiast prawdą jest, że pani Bombowa powróciła do zawodu cztery lata później, 7 X 1919 r., a więc po walkach o Lwów i oddaleniu – jak mogło się wówczas wydawać – wszelkiego zagrożenia dla miasta. Pokój ów został szybko zburzony, ale niewiasta owa pozostała już na swym posterunku do roku 1924 w szkole żeńskiej im. Czackiego, mieszczącej się przy ul. Kocha-

¹ *Księga adresowa król[ewskiego] stoł[ecznego] miasta Lwowa. Rocznik siedemnasty 1913*, wyd. F. Reichman, [Lwów] 1912, s. 42.

nowskiego 71². „Nie ma powodów, by powątpiewać, że potem musiała się przenieść do szkoły, której patronował św. Antoni” – tak pisałem jeszcze dekadę temu. Jednak w międzyczasie dowiedziałem się, iż w drugiej połowie lat 30. XX w. mieszkała wraz z mężem przy tejże ul. Kochanowskiego pod numerem 71³, zapewne w mieszkaniu służbowym przy szkole im. Czackiego. Być może zatem była po prostu oddelegowana czasowo dla wzmocnienia kadry nauczycielskiej u św. Antoniego. Byłoby to jakieś zrządzenie losu. Tak czy owak uczyła młodego Herberta, mając ok. 37 lat. Nie była więc młoda, ale jeszcze przez długie lata mogła być piastunką rozwoju intelektualnego setek dzieci, także już po repatriacji za czasów PRL-u. Jednak raczej nie miała szans by dożyć wolnej Polski. Mnie pozostaje tylko podkreślić, iż Poeta kreśląc u kresu żywota epilog do swej burzliwej historii był w stanie wyłowić z pamięci panią Bombową i co ciekawe, prawdopodobnie jej imię wyleciało mu z głowy, w czym nic dziwnego nie ma, zważywszy na owe siedemdziesiąt lat i tęgie zawieruchy dziejowe. Jednak nie próbował go wymyślać, lecz użył dość karkołomnego „zawijasu” stylistycznego, by je ominąć i nie kryć się wstydliwie za kurtyną własnej niepamięci. To piękny dowód szacunku.

Rozstanie ze szkołą św. Antoniego miało jednak rychło nastąpić i to z winy samego Zbyszka. Mieszkanie przy ul. Łyczakowskiej stało się zbyt niewygodne, kiedy urodził się Herbertom najmłodszy, Januszek. Zgodnie więc z zasadami zdrowego rozsądku, oszczędną gospodarką rodzinnym budżetem i w trosce o dobre samopoczucie dzieci do zasiedlenia – mówiąc z lwowska – nowej chawiry doszło dopiero jesienią 1932 r. Mieściła się ona przy ul. Hetmana Tarnowskiego pod numerem 18 na pierwszym piętrze. Jednak przeciw zmianie szkoły żywiłowo zaprotestowała siostra przyszłego Poety, nie

chcąc rozstawać się z koleżankami. Ostatecznie zdecydowano pozostawić oboje u św. Antoniego. W stosunku do córki decyzja ta została utrzymana w mocy do czasu ukończenia szkoły powszechnej, jednak wobec Zbigniewa okazała się błędna. Pewnego bowiem razu, zapewne na ulicy Zielonej, Maria Herbertowa wsiadła do tramwaju. Ponieważ wszystkie miejsca były zajęte, a jechać miała dość daleko, więc przeszła na tylny pomost. Stanąwszy tam, kątem oka zauważyła jakiś ruch z tyłu wozu, toteż wyjrzała przez okno i zamarła. Jej synek, Zbyś, stał na tzw. buforze, bądź inaczej „cycku”, i uczepiony jakiejś listwy, zażywał właśnie uroków darmowej podróży komunikacją miejską. Oczywiście, nieważny tu był element oszczędnościowy, ale „fason” ulicznika, czy batiara, od którego do tej pory nieprzebytym murem odgradzała go baczna opieka rodziców i krewnych. Ze ściśniętym gardłem i na miękkich nogach Matka przyszłego Poety podeszła do tramwajarza prowadzącego pojazd i poprosiła go, by delikatnie się zatrzymał, bowiem z tyłu „na przyczepkę” jedzie jakieś chłopaczysko, które w każdej chwili może zginąć pod kołami. Było Jej wstyd wyznać, że interwencję ową podejmuje w celu ocalenia własnej „pociechy”, a cudzysłów użyty w tym kontekście jest jak najbardziej na miejscu. Zdarzenie to w efekcie przyniosło przeniesienie Zbigniewa do szkoły powszechnej im. Marii Konopnickiej (a właściwie do jednej z dwóch szkół, bowiem ta również była podzielona na żeńską i męską), mieszczącej się przy ulicy Zielonej, a więc znacznie bliżej mieszkania przy ul. Tarnowskiego. Cała droga do szkoły wynosiła jakieś 800 m. Pokus było znacznie mniej, a i kontrolowanie delikwenta stawało się łatwiejsze.

Szkoła św. Antoniego pojawia się w twórczości Herberta jeszcze raz w wierszu *Moje miasto*, zawartym w drugim z kolei tomie Autora *Pana Cogito*, zatytułowanym *Hermes, pies i gwiazda*. Jednak nazwa pierwszej dlań „wszechnicy” nie pada w nim wprost, choć łatwo ją zidentyfikować po szczegółach topograficznych. We śnie bohater liryczny wędruje „z domu rodziców do szkoły”, a więc to już zupełnie inna historia, poetyka, ale i znak wdzięcznej pamięci o polskiej szkole we Lwowie, fragmencie najserdeczniejszego pejzażu wspomnień.

² S. Lehnert, *Spis nauczycieli publicznych szkół powszechnych i państwowych seminariów nauczycielskich oraz spis szkół w Okręgu Szkolnym Lwowskim obejmującym Województwa Lwowskie, Stanisławowskie i Tarnopolskie*, Lwów 1924, s. 26.

³ *Księga adresowa Małopolski. Lwów, Stanisławów, Tarnopol (...)* Rocznik 1935/1936, [Lwów 1935], s. 44.

Aleksandra Solarewicz

Lwowska wyprawa „Wkurzonych Prawników”



„Jaki, jesteś teraz zadowolony, Dziadziusiu?”
Fot. z archiwum autorki

Każdy cieszył się i nie dowierzał. Każdy miał trochę obaw. Nikomu nie chciało się jechać. Ale znalazło się legendarne miejsce pochówku wspólnego pradiadka, więc każdy tak samo był zobowiązany. Dziedzice genów, nazwiska, herbu i „pióra” jednomyślnie szarpnęli się na bilet kolejowy do Lwowa. Jedziemy stanąć twarzą w twarz z Nim. I może z czymś jeszcze? Jedziemy. Nie ma odwrotu!

Sytuacja zwyczajna. Rysiek, wnuk Stanisława Rychłowskiego (1903–1950). Ja wnuczka Ireny Rychłowskiej (1913–2005). Ich ojciec – Kazimierz Lucjan Nałęczę-Rychłowski (1878–1941), dziennikarz i krytyk teatralny, to pradiadek Rysia i mój. Długo trzeba było myśleć, żeby dojść do tego wniosku. Nasi rodzice, bliscy przecież kuzyni, spotkali się ostatnio 51 lat temu w Krakowie na pogrzebie prababci Rychłowskiej. My nie znaliśmy się wcale. Z dziesięć lat temu dowiedziałam się, że niejaki Rysiek Rychłowski krąży po tej samej galaktyce. Potem złapałam kontakt z jego

tatą Jerzym (ur. 1934), który ma świetną pamięć i pióro. Rozmawialiśmy telefonicznie, gawędzili. Pytałam o rodzinę. Słuchałam opowieści wujka Jerzego z przysłowiową otwartą gębą.

W grudniu 2018, pół roku po publikacji w „CL” (nr 1/ 2018) pierwszego artykułu o Kazimierzu Lucjanie odezwało się do mnie Towarzystwo Miłośników Dziedzictwa Kultury Polskiej „Zabytek” we Lwowie. Nastąpiła intensywne wymiana informacji. Po dwóch miesiącach, błyskawicznie sfinalizowali poszukiwania. Wtedy nawiązałam kontakt z Drogim Kuzynem, który w końcu nosi nazwisko pradiadka. Zbyszek Pakosz, sekretarz „Zabytka”, uważał, że ekipa jest gotowa. „Przyjdziecie? Przyjedziemy”.

– Przyjedziemy?

– Aaa... nie wiem, a to ty nie pojedziesz?

– Bardzo bym chciał, ale obowiązki, zgotoda... A ty?

– 31 października? Moja szefowa nie będzie szczęśliwa...

Akurat moja szefowa nie robi problemów.

Co za brzydki wykręt!

U samej góry narożne mieszkanie Dziadków (okna przysłania młode drzewo). Fot. z archiwum autorki



Po coś więcej niż ШОКОЛАД

Wystraszeni, częstowani od lat wiadomościami na temat upowców i obecnej wojny na Ukrainie, szturchaliśmy się łokciami. Kto powie pierwszy: „W drogę?”. Zbyszek wyznaczył termin: 2 listopada. We Wrocławiu i w Pile wielka mobilizacja. Pozwolenia, urlop, paszporty. Rysiek z żoną Magdą – strażniczką tradycji Domu – i ja. W ostatniej chwili dołączyła do nas moja siostrzenica, 15-letnia Hania. Ona jako jedyna z nas była już we Lwowie, pół roku temu z wycieczką szkolną. O czym im opowiadał sympatyczny ukraiński przewodnik, nawet nie pytałam. Wiem tylko, że nie pojechali na cmentarz Orląt, „bo ciągle padało”. Na koniec ów przewodnik, wiedziony intuicją, zaprowadził smarkaczy do... wytwórni cukierków. Trochę szkoda, żeby miasto, w którym urodziła się babcia Hani, kojarzyło się jej potem z terminem *шоколад*. Na szczęście Hania bardzo chciała wrócić do Lwowa i chętnie przyjęła ofertę cioci. Mglistą nocą z 31 października na 1 listopada niespiesznie sunęliśmy autostradą w kierunku Przemysła.

Michał do Przemysła, Jakub do Wiednia

Ale były klimaty! Do wagonu wchodziło się jak na strzelnicę, po drodze zabrali nam bilety (i już nie oddali), a w środku dywaniki iupał. – Ale hajcuj! – podsumował ktoś, kiedy już usiedliśmy (czekało nas 2,5 godziny jazdy w kuszetce). A przecież podróż tym szlakiem była bardzo ważna. 100 lat temu na linii ze Lwowa do Przemysła pociąg prowadził drugi pradziadek, Michał Stuchły. W okolicy Przemysła odbija linia na

Wiedeń, a przecież tamtędy parowozy prowadził Jakub Krowicki, pradziadek Rysia.

I tym szlakiem jechali w 1945 wygnani ze Lwowa Rychłowscy. Wujek Jurek opowiada, że jego ojciec został mianowany przez Sowietów jako odpowiedzialny z polskiej strony za porządek w transporcie. Zaszczytne funkcje, ale też zaszczyt był rozumiany po rosyjsku. „Jak jest dobrze, darujemy wam życie, a jak nie, to kula w łeb”. Miej-

sce w wagonie, którym jechali Rychłowscy, niemal w całości wykupiła pani Przysiężna, właścicielka piekarni położonej gdzieś w okolicach kościoła św. Anny (Gródecka/Janowska). Miała pozwolenie, więc wiozła ze sobą komplet maszyn piekarniczych. A za tymi maszynami skrywało się dwóch polskich uciekinierów z Gułagu. Mało, oni przemycali listy innych nieszczęśników do rodzin w Polsce. – Rosjanie – zapamiętał Wujek – i kiedy na granicy przyszło do sprawdzania, Stanisław Rychłowski, aby odciągnąć uwagę Ruskich od tego wagonu, upozorował silny atak bólu żołądka.

– Ojciec leżał na ziemi, wił się, kopał nogami – opowiadał Wujek – Sowietci chcieli go zabrać do szpitala. Jak pociąg ruszył, Stanisław zdążył wstać i wskoczyć do ostatniego wagonu. Natomiast anonimowi „bieżący” ulotnili się na pierwszej stacji przed Przemysłem.

Wujek potrafi przytoczyć więcej takich perełek. Było o czym myśleć, jadąc z Mościsk na wschód. To również tędy w 1939 maszerował ze szpitala polowym nr 504 mjr dr Stanisław Stuchły („CL” nr 3/2018). Gdzieś pewnie śpią jego koledzy w tych sosnowych lasach...

Wieża kościoła Elżbiety

„Hop!” Ukraiński kolejarz elegancko podaje dłoń i pomaga zejść na peron. Z tej przeszklonej hali startowały niegdyś parowozы prowadzone przez Jakuba i Michała. A za bramą dworca otwiera się szeroki świat. Już kiedy wjeżdżaliśmy do Lwowa, po głowie turlał mi się fragment piosenki: „Z dała widać

już, niestety, wieże kościoła Elżbiety”. Chociaż Rysiek i ja jesteśmy z dwóch różnych linii rodziny, celowaliśmy wzrokiem właśnie w daleką św. Elżbietę. Był to kościół parafialny Stuchłych, bo leżał w dzielnicy kolejarskiej (mieszkali na Gródeckiej). Jednocześnie był to kościół chrzcielny wujka „Jurcia”, gdyż jego szczęśliwe dzieciństwo przedwojenne upłynęło przy ul. Lwowskich Dzieci 28 (potem Turgieniewa, a teraz Bohaterów UPA). Tym razem minęliśmy Elżbietę galopem. Gródeczka ciągnęła się w nieskończoność, a kiedy mieliśmy dość, po prawej stronie wyrósł Teatr. Tutaj przed wojną tańczyła w balecie babcia Ryśka, Emilia z Krowickich. Tu nasz wspólny pradziadek Kazimierz Lucjan oglądał przedstawienia, z których pisał recenzje. Tu właśnie za Sowietów przepadły jego rękopisy. Gdzie jest rękopis translacji *Zbójców* Schillera? Drugi kryminał i zadanie dla mnie!

Żary i znicze

Jakaż byłam pewna, że wszystko wiem. Karmelitów wzięłam za Marię Magdalenę, katedrę greckokatolicką za Dominikanów, Klaryski za kościół św. Antoniego (bo też na Łyczakowskiej, ależ mądra jestem...). W końcu pozostało czytać napisy i podziwiać milcząco. A nie docierało do mnie zupełnie, że to wszystko istnieje naprawdę. Kręciło się już w głowie.

Dziwnie było obchodzić Wszystkich Świętych w mieście przodków, które – mimo tak intensywnych, jaskrawych akcji odzierań z polskości – okazało się tym samym Lwowem co w opowieściach Dziadków. Polskojęzyczna tablica na murze Katedry stała się dla nich klamrą: „A jednak to wszystko prawda”. Świątynia jak cudowny ogród równa się tylko bazylice Mariackiej w Krakowie. Przy wejściu epitafium... Hoffmanowej? W jednym ołtarzu św. Jan z Dukli, w drugim bł. Jakub Strzemię. A czy będą śpiewać *Gwiazdo śliczna miasta Lwowa*?

Mój kuzyn jeszcze dobrze nie wszedł do katedry, a już przydzielono mu jakiś pakunek.

– Co to jest?

– Znicze. Prosimi, żebyśmy zabrał na Janowski.

– A skąd one?

– Zaraz... Stowarzyszenie... Żary...

W ten sposób zostałam obdarowana zniczami przez drów Zbigniewa i Krzysztofa Kopocińskich ze 105 Kresowego Szpitala

Wojskowego w Żarach, z którymi przeprowadziłam niedawno wywiad dla naszej „Cra-covii” (nr 1/2019). Zbiórkę przeprowadzili jako Klub Tarnopolan TMLiKPW w Żarach i Kresowe Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze im. Orłąt Lwowskich.

Dr Zbigniew Kopociński nie był tym wcale zdziwiony. *Pewna niezwykła lwowianka* – napisał w odpowiedzi – *gdy opowiadaliśmy kiedyś o naszej kresowej działalności i różnych przedziwnych zbiegach okoliczności, mówiąc, że coś wydarzyło się zupełnym przypadkiem, stwierdziła: „Przypadki są tylko w gramatyce”. I tego się trzymamy. I to jest to, Panie Doktorze!*

Na janowskich piaskach

Za Niemca na cmentarz Janowski się nie chodziło. W pobliżu Niemcy mordowali Żydów i palili ich ciała, i było niebezpiecznie. Dziadek sam raz o mało nie został zastrzelony przy grobie rodziców przez jakiegoś żołnierza, który go tam zaczepił. Dziadek zwraca się po polsku. Ten nie rozumie. Dziadek po niemiecku, żołnierz znowu nic. To po rosyjsku? Też nic. – Był to – opowiadał po latach – prawdopodobnie Łotysz polujący na Żydów, który ciemnookiego, smagłego mężczyznę wziął za zbiega skrywającego się na cmentarzu. A kiedy nastali druzdy Sowietci, wolno było już na Janowski chodzić. Tylko że kiedy w 1945 rodzina Rychłowskich opuszczała Lwów, po grobie Kazimierza Lucjana nie było już śladu.

Teraz to kwatery w polu 28a rzeczywiście trafić łatwo. W morzu pomników ze skutymi polskimi nazwiskami, grobowców zaadaptowanych przez nowych lokatorów (ciekawy sposób traktowania zabytku UNESCO...), wyróżnia się jasna kolumna z piaskowca, przewiązana biało-czerwoną wstążką. W medalionie pradiadziwo, jakim zapamiętała go córka. „Ojciec był szalenie przystojny!” – podkreślała zawsze. Ze zdjęcia spogląda młody, elegancki i zadowolony z życia.

Szukali jednego, znaleźli całą rodzinę

To, co się zaczęło od zagadkowego zdania w wierszu *Na cmentarzu Janowskim we Lwowie*, doprowadziło nas do konkretnego kawałka ziemi, gdzie teraz stoi piękny pomnik. I te wszystkie osoby, ks. abp Mieczysław Mokrzycki w otoczeniu duchownych,

Eliza Dzwonkiewicz, konsul generalna RP (konsulat sfinansował częściowo nagrobek), dziennikarze, oni wszyscy przyszli do naszego pradziadka. Spośród gości zapamiętałam najlepiej twarze starszych osób, których obecność da się podsumować w dwóch słowach: „Zawsze wierni”. O, i jeszcze „Salve Regina”, która w wersji łacińskiej wreszcie ma ręce i nogi. A prezes „Zabytka” Leon Tychowski ze łzami w oczach opowiadał, że razem ze Stanisławem Maldzińskim, który pierwszy wpadł na trop Rychłowskiego, szukali tej kwatery trzy lata. – Gdyby nie prof. Ryszard Tomczyk ze Szczecina, autor monografii cmentarza Janowskiego (i przeznaczny człowiek – przyp. AS), toby z tego nic nie wyszło. W oczach p. Tychowskiego pojawiły się łzy. – Myśmy nawet nie wiedzieli, że wy istniejecie – dodał łamiącym się głosem. W imieniu Rychłowskich przemawiał Rysiu, który wręczył panu Tychowskiemu (i osobno Zbyszkowi Pakoszowi jako sekretarzowi „Zabytka”) podziękowania od rodziny. To ozdobny dyplom za szkłem z herbem Nałęcz u szczytu, specjalnie zaprojektowany przez Joasię, żonę innego z prawnuków.

Kiedy szacowni goście odchodzą w dal, zbieram szarą jak popiół ziemię do plastikowej torebki. Rozsypię ją na grobach rodzinnych w zachodniej Polsce. Rysiu z miną, która na zdjęciu da się określić jako przebiegła, demontuje wstęgę z drzewa stojącego na początku alejki. Będzie relikwia vel łup do podziału.

Przez pola na Wzgórza

Na tym cmentarzu zostawiliśmy o wiele więcej. Gdzieś przepadły groby pradziadków Rysia, Wiktorii i Jakuba Krowickich. Blisko głównej alei, w polu 13 Zbyszek Pakosz pokazuje zwalony z postumentu (ale już odrestaurowany przez „Zabytek”) krzyż Michaliny Kolasy, prababcinej siostry. Kamień ciężki, więc grób musiał być tuż obok. Ciocia leżała z siostrą Ludwiką, więc może to te dwa bliźniacze obmurowania? W polu 14 leżał mąż Ludwiki – Michał Jarosz (nagrobek dobrze zachowany). W polu 14 leżała też najważniejsza czwórka: Michał i Julia (zm. 1930), ich córka Stefania i synek Ludwik. To ten grób, przy którym Łotysz chciał zastrzelić Dziadka. Stał nad tym grobem „solidny, dębowy krzyż”, który Dziadek postawił przed

wyjazdem ze Lwowa w 1944 r. Ale dziś tego krzyża na pewno już nie ma...

Za cmentarzem Janowskim znajduje się obecna cerkiew św. Andrzeja, którą obwołałam św. Anną (bo w niej była msza żałobna po Pradziadku). Do faktycznej św. Anny nie wstąpiliśmy. Kawiarnia „Szkocka”, w której siadywał Kazimierz Lucjan wraz z artystyczną bracią, też przepadła w gęstwinie cudów Lwowa. Po lewej, jak scena z powieści, wyskoczyło Ossolineum, po prawej smutna sypiąca się Maria Magdalena (kościół ślubny dziadka i babci). Idąc na Wzgórza Wuleckie, gdzie na osiedlu ubezpieczalni społecznej mieszkali zarówno dziadkowie, jak i pradziadkowie, minęłam rodzinny dom Dziadka przy Sapiehy (Bandery) 54. Ani go zauważyłam. Znalazłam natomiast mieszkanie Dziadków na Wzgórzach Wuleckich. To dzisiejsza ulica Ostrogradskich. Przed wojną ich adres brzmiał: ul. Małachowskiego 2, blok I, brama VII m. 9. Dzisiaj lokalizuje go według relacji Dziadka z egzekucji niemieckiej na polskich profesorach w lipcu 1941 r. Dziadek obserwował ją przez okno, z bardzo bliska. Wiem też, że mieszkanie na III piętrze było narożne, a z okien widać było mieszkania w bloku naprzeciwko. Z boku po wojnie zrobiono dobudówkę. Okno, z którego patrzył Dziadek lipcowym świtem, przysłania teraz młode drzewo...

Na melodię mandoliny

Kazimierz Lucjan był podobno autorem pierwszych audycji Polskiego Radia Lwów, ale największy sukces na falach rozgłośni odniósł jego wnuk. 11 listopada 1938 r. – uroczysta audycja na żywo. Na widowni komplet, w pierwszym rzędzie klan Rychłowskich i lwowscy notable. Blisko 4-letni, ubrany w strój ulana jazłowieckiego „Jurciu” Rychłowski recytuje do mikrofonu następujący wierszyk:

– Szedł raczek przez krzaczek, miał czerwoną kubraczek. Dam kubraczek Zosi, gdy mnie Zosia poprosi.

Zosia, w stroju ludowym, nagle zapomniała swojej kwestii. Zaczyna szarpać Jurka, krzycząc:

– Daj, no daj!

– A gównu, nie dam! Poproś! – ryknął w eter wnuk redaktora-seniora.

Sala ryczy ze śmiechu, Kazimierz Lucjan wstaje:

– Co za wstyd. Wychodzimy!

Afera. W końcu wujek Jurka, batiar Dziuniak (Tadzio) Krowicki wstawił się za siostrzeńcem:

– Panie rydaktorze, ta jaki sztemp na cały Lwów? We Lwowie tysiąc pięćset odborników, połowa wyłączona, bo Lwów bawi się na festynach. Dobrze Jurciu zrobił, szac chłopaka, nie pozwolił się szarpać tej małej wywołce. – Ta „mała wywołka” była córką jakiegoś tuzy.

Po trzech tygodniach dziadek, ten – jak go zapamiętał Jurciu – „samotny, surowy filozof”, wybaczył wnukowi.

– Jesteś *szac chłopaka* – przyznał z lewde skrywanym uśmiechem.

Adam Pałka (ur. 1926), najstarszy wnuk Kazimierza Lucjana, a syn jego córki Janiny, podkreśla, że Radio było ważną instytucją.

– Sygnałem Polskiego Radia Lwów był charakterystyczny dźwięk mandoliny – mówi. – I potem szła audycja. Na to się w Rohatynie czekało, na wiadomości ze Lwowa.

Tut howoryt Lviv – usłyszał nagle Adam pewnego wrześnieowego dnia. I to był koniec. Stary budynek przy dawnej ul. Batorego 6, z lwami na froncie, mieści teraz obcą stację. Polskie Radio Lwów nadaje z sąsiedniego budynku, korzystając z częstotliwości radia „Niezawisomost”. Redaktor naczelna PR Lwów, Teresa Pakosz, żona Zbyszka, serdecznie przyjmuje czteroosobową delegację w studiu. Pyta o rodzinę, o twórczość Kazimierza Lucjana. Proste, a zarazem trudne. „Kudy mnie tam” – przychodzi mi na myśl lwowski powiedzenie – „Kudy mnie do pradziadka”. Ale jego nazwisko znowu, równo po 80 latach rozbrzmiało na falach lwowskiej rozgłośni. O tym też kiedyś nawet nie mogliśmy pomarzyć.

Nasza gwiazda filmowa

Żeby zrozumieć Lwów, trzeba go przetłumaczyć. Widzieć ulicę Lwowskich Dzieci, Sapiehy, Małachowskiego i nanieść ten obraz na współczesną mapę. Rysiu został wyposażony przez tatę „Jurcia” w ksero mapy przedwojennej i bardziej współczesną, ale i tak zdezaktualizowaną. Kombinowaliśmy



W PR Lwów. Od lewej red. Teresa Pakosz, autorka; Hania Madejek (praprawnuczka), Magda i Rysiek Nalięcz-Rychłowski. Fot. z archiwum autorki

mocno, próbując zgrać dwa kierunki poszukiwań. Bo mnie ciągnęło na Wzgórza Wuleckie, a Rychłowski mieli interesa w centrum miasta. Jak mocny jest obraz, wymalowany w pamięci dzięki rozmowom z Dziadkami, dla których to miasto pozostało wierne. Tablice o treści przejmującej grozą (Bandera, Siczynski, niejaki Oleg Palij...) przestały być ważne. Odnosiłam wrażenie, że to jest makabryczna, a czasem absurdalna (jak tytułowanie Daniela Halickiego królem) dekoracja. Nie widziałam ich. Zresztą wszędzie spotykaliśmy się z wielką życzliwością Ukraińców. Mogłam spokojnie iść szlakiem swoich przodków.

W Polsce okazało się, że małe święto na cmentarzu Janowskim oglądała cała Polska.

– Kiedy przyszedłem do pracy 5 listopada we wtorek – opowiada Rysiu – kolega rozdarł się na cały regulator: „Witamy naszą gwiazdę filmową”!

Okazało się, że migawki z cmentarza Janowskiego puściła TVP, a fragmenty rozmów Polskie Radio (korzystali z „Kuriera Galicyjskiego”). Jak to zrobili, inna sprawa. Budowany od podstaw nagrobek okazał się odnowionym, moja babcia została moją matką, a z 10 żyjących wnuków Kazimierza Lucjana pozostało troje. Rysiu napisał odezwę, ja przypieczętowałam swoim groźnym podpisem. Coś poprawili.

– Co znaczy presja wkurzonych prawników! – podsumował z satysfakcją mój kuzyn.

„Wkurzone Prawniki” – dobra nazwa dla formacji krewnych, którzy uwierzyli w Niemożliwe. I stało się to we Lwowie.

Antoni Wilgusiewicz

Wkład lwowskiego środowiska historycznego w badania dziejów Górnego Śląska

Jeśli idzie o stosunek Lwowa do innych środowisk naukowych, w szczególności do innych miast uniwersyteckich w Polsce, Lwów był zawsze dotychczas stroną dającą, nie biorącą, więcej do dziś jeszcze, jeśli idzie o naukę, promieniuje, aniżeli wchłania i to nie tylko na polu nauk humanistycznych, lecz również na polu nauk przyrodniczych.

Tadeusz Mańkowski, *Życie naukowe współczesnego Lwowa*, Lwów 1934

Lwów jako kolebka Polskiego Towarzystwa Historycznego ma ogromne zasługi w rozwoju badań historycznych dotyczących nie tylko Rusi Czerwonej, jak to określono w pierwszym statucie, ale też innych ziem polskich, w okresie powstawania Towarzystwa rozdzielonych między trzy państwa zaborcze. W okresie tym Śląsk, także Górny Śląsk, nie był szczególnym przedmiotem zainteresowania historyków lwowskich, jednakże w ich dorobku znajdujemy prace poświęcone tematyce śląskiej.

Zacząć należy od prac historyków niebędących profesjonalnymi badaczami, ale wysoko cenionych także przez współczesnych historyków historiografii. Dwóch z nich, Ignacego Lubicz-Czerwińskiego oraz Henryka Schmitta, przypomniała Dorota Malczewska-Pawelec pod kątem prezentacji spraw Śląska w ich syntezach dziejów Polski. Pierwszy z nich wydał swą pracę w Przemysłu w 1816 roku, postrzega w niej Śląsk jako całość, bez podziałów na Górny i Dolny, a pierwszą datą z jego dziejów jest rok 1039 (najazd czeskiego księcia Brzetysława). Sprawy śląskie w dziele Lubicz-Czerwińskiego zajmują niewiele miejsca; jako część ziem polskich, Śląsk jest przez niego postrzegany do czasów Łokietka, a z powodu jego utraty autor nie czuje żalu. O postaciach związanych ze Śląskiem wyraża się krytycznie, a jego uznanie zyskuje jedynie działalność zjednoczeniowa Henryka Brodatego. Drugi z historyków, Henryk Schmitt, tworzył pół wieku później, już na początku ery autonomii galicyjskiej. W swoich kilku pracach, jak na przykład *Zdarzenia najważniejsze z przeszłości narodu polskiego*¹, opisuje Śląsk znacznie

dokładniej niż poprzednik, wymieniając wiele nazw geograficznych i ważnych postaci historycznych aż po wiek XVIII. Określa Śląsk jako ziemię czysto polską, ale podlegającą stopniowemu Niemczeniu, poczynając od czasów Henryka Brodatego. Od tej pory postrzega Ślązaków w negatywnym świetle, ale dostrzega wśród nich różne grupy narodowościowe: Niemców, Czechów, a także Polaków. W ocenie autorki, o ile Lubicz-Czerwiński widzi Śląsk jako ziemię niegdyś polską, ale definitywnie straconą, o tyle drugi z historyków widział kontynuację związków tej ziemi z polskością, co rodziło określone skutki polityczne na przyszłość².

Na wspomnienie w tym nurcie historiografii zasługuje także biografia księcia Władysława Opolskiego, napisana i wydana we Lwowie jeszcze później niż omówione wyżej prace przez Ernesta Breitera. Był on publicystą i działaczem socjalistycznym; jako jedyny polski polityk poparł niepodległość Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, a po jej porażce udał się do Wiednia, gdzie zmarł w 1935 roku. Praca Breitera, wydana własnym nakładem autora, nosi rozbudowany tytuł *Władysław książę opolski, pan na Wieluniu, Dobrzyniu i Kujawach, palatyn węgierski i wielkorządcą Polski i Rusi. Zarys biograficzny*; należy przy tym zaznaczyć, że jest to praca o charakterze naukowym, bazująca na poważnym materiale źródłowym uwidocznionym w przypisach. Barwna po-

¹ *szłości narodu polskiego*. Lwów 1869

² D. Malczewska-Pawelec. Śląsk w pracach historyków lwowskich Ignacego Lubicz-Czerwińskiego i Henryka Schmitta. W: *Wielokulturowe środowisko historyczne Lwowa w XIX i XX w.* t. 1, pod red. Jerzego Maternickiego, Rzeszów 2004, s. 178–194

stać księcia Władysława jest między innymi symbolem związków Śląska i Rusi w czasach średniowiecza. Autor jako lwowianin obszernie opisuje zasługi księcia dla Lwowa, między innymi starania wokół przeniesienia stolicy arcybiskupiej z Halicza do Lwowa (co stało się ostatecznie w roku 1414)³. Nie zmienia to jednak ogólnej, zdecydowanie negatywnej oceny działalności śląskiego księcia, który według autora kierował się jedynie własnym interesem: „Człowiek ten, żyjący w czasach tak pięknych jak Jadwigi i Jagiełły, robi wrażenie jak ciemna plama na złotej tarczy słonecznej, jak fałszywy ton w czarownej muzyce”⁴.

Nurt w pełni profesjonalny w lwowskich badaniach historycznych – w tym także dotyczących Śląska – można zacząć omawiać od dzieł syna legendarnego polityka galicyjskiego, Franciszka Smolki, wybitnej postaci polskiej XIX-wiecznej historiografii – Stanisława Smolki. Jedną z jego pierwszych, młodzieńczych prac naukowych (miał wówczas lat osiemnaście) była rozprawa *Henryk Brodaty i jego czasy*, ogłoszona we Lwowie w 1872 roku, podczas pobytu na wakacjach w rodzinnym mieście, studiował wówczas w Getyndze. Charakterystyczne, że nie chciał on opublikować swojej pracy w niemieckim czasopiśmie poświęconym historii Śląska, uważał bowiem ten rozdział dziejów Śląska za część historii Polski⁵. Warto podkreślić takie podejście do zagadnienia badaczy lwowskich, albowiem i w późniejszym okresie stanowiło ono punkt wyjściowy do ich pracy – badali dzieje Śląska jako jednej z dzielnic państwa polskiego, później od niego odłączonej, by po 1922 roku znowu do niego wrócić. Podkreśla to



Senator Stanisław Zakrzewski (1873–1936)

wyraziście pomieszczenie źródeł do dziejów Śląska w fundamentalnym dla polskiej historiografii dziele, mianowicie *Monumenta Poloniae Historica*. W tomie III MPH (wyd. 1878), których edycję rozpoczął nieżyjący już wtedy dyrektor lwowskiego Ossolineum August Bielowski, znajdujemy cały zestaw tych źródeł. Zajmują one obszerną część całości, bo strony od 423 do 789. W opracowaniu samego Bielowskiego znajdziemy tam 11 roczników i innych źródeł (jak *Nagrobki książąt śląskich*), poczynając od obejmującego najwcześniejsze wydarzenia, bo od 970 roku (na ten rok datuje on przybycie Dobrawy do Polski)⁶ *Rocznika cystersów henrykowskich*. Wśród nich znalazł się także *Rocznik górnośląski*, w którym znajdziemy m.in. wzmianki o Raciborzu:

1206 *Mesco dux Raceburgensis tenendo Cracoviam obiit*
1249 *Bruno episcopus Olomutzensis Ratebor civitatem acquisivit.*

Rocznik ten zwany jest także „krakowsko-szląskim”, a to ze względu na podobieństwa z rocznikiem kapitulnym krakowskim⁷.

Wśród innych autorów opracowań źródeł do dziejów Śląska, zamieszczonych w tymże tomie III MPH, znajdujemy Aleksandra Semkowicza, wybitnego mediewistę, dyrektora Biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego oraz redaktora „Kwartalnika Historycznego”. Opracował on i umieścił w tomie III MPH tak cenne źródło, jak *Kronika o Piotrze Właście*, a także opis usunięcia Żydów z Wrocławia za przyczyną Jana Kapistrana w roku 1453⁸.

Następca Augusta Bielowskiego na stanowisku dyrektora Ossolineum, równie wybitny i zasłużony dla kultury polskiej uczoney Wojciech Kętrzyński, powrócił do źródeł dotyczących historii Śląska w ostatnim, VI tomie MPH, wydanym w 1893 roku. Pomieścił tam m.in. *Catalogi episcoporum vran-*

nych w tymże tomie III MPH, znajdujemy Aleksandra Semkowicza, wybitnego mediewistę, dyrektora Biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego oraz redaktora „Kwartalnika Historycznego”. Opracował on i umieścił w tomie III MPH tak cenne źródło, jak *Kronika o Piotrze Właście*, a także opis usunięcia Żydów z Wrocławia za przyczyną Jana Kapistrana w roku 1453⁸.

³ E. Breiter. *Władysław książę opolski, pan na Wieluniu, Dobrzyniu i Kujawach, palatyn węgierski i wielkorządcą Polski i Rusi. Zarys biograficzny*. Lwów 1889, s. 76–77

⁴ Tamże, s. 239

⁵ Stanisław Smolka. W: *Internetowy Polski Słownik Biograficzny*. <https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/stanislaw-smolka>

⁶ MPH, t. III, Lwów 1878, s. 700

⁷ MPH, t. III, s. 714

⁸ MPH, t. III, s. 745–789

tiislaviensium oraz *Varia e codicibus Vra-tiislaviensibus*⁹.

Lwowscy mediewiści badali dzieje Śląska przede wszystkim w aspekcie roli, jaką Piastowie śląscy odegrali w procesie jednoczenia ziem polskich i odbudowy monarchii piastowskiej. Wspomniany Aleksander Semkowicz w „Kwartalniku Historycznym”, t. 4, 1890 r. opublikował rozprawę *Walka o monarchię 1288–1294*, Oswald Balzer w rozprawie *Walka o tron krakowski w latach 1202 i 1210/11* zajął się zaś okresem wcześniejszym. W oparciu o cytowany wyżej zapis z *Rocznika górno-śląskiego* (powstałego w Opolu lub Raciborzu) można wysunąć tezę, że w chwili swojej śmierci w 1206 roku panem krakowskim był Mieszko I raciborsko-opolski, syn Władysława II (znany też pod przydomkiem Piłtonogi), a nie Leszek Biały. Teza taka pozostaje jednak w sprzeczności z zapisem *Rocznika kapitulu krakowskiej* mówiącym o śmierci Mieszka w 1211 roku i przejęciu sukcesji po nim przez syna Kazimierza. W celu wyjaśnienia tej sprzeczności Balzer dokonał obszernej analizy zapisów rocznikowych śląskich i małopolskich, dochodząc do wniosku, że prawidłową datą śmierci księcia jest rok 1211. Zajęcie przez śląskiego księcia Krakowa miało prawdopodobnie miejsce na krótko przed jego śmiercią i było tylko kilkumiesięcznym incydentem; syn jego księżę opolski Kazimierz takich starań już nie podjął, w przeciwnieństwie do swego kuzyna Henryka Brodatego¹⁰. Taka też wersja wydarzeń jest dziś powszechnie przyjęta w historiografii oraz encyklopediach i podręcznikach historii.

Największy autorytet lwowskiego środowiska mediewistycznego na początku XX wieku, Stanisław Zakrzewski, urodzony w Warszawie, a szlify badacza-historyka zdobywający w Krakowie, w 1906 roku został kierownikiem Katedry Historii Polski Uniwersytetu Lwowskiego (w wolnej Polsce Uniwersytetu Jana Kazimierza); tu powstały jego najwybitniejsze dzieła i stąd wywodzi się liczne grono jego uczniów – znanych polskich historyków. Zagadnienia dotyczące ziem śląskich znajdują miejsce w jego dzie-

łach dotyczących Polski piastowskiej, a także wcześniejszych dziejów ziem polskich, jak np. *Opis grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju, czyli t.z. Geograf Bawarski* (Lwów 1917). Autor, analizując poszczególne plemiona i ich terytoria, sporo uwagi poświęca tym, które zamieszkiwały tereny dzisiejszego Śląska, tak Dolnego, jak i Górnego. Tak na przykład plemię Besunzane – Biezuńczanie – według jego hipotezy miało swoją siedzibę nad Bierawą, dopływem górnej Odry, czego śladem do dziś są miejscowości Stary i Nowy Bieruń (Biezuń), między Katowicami a Oświęcimiem. Autor uważa, że podobnie jak Ślężanie wywodzili swą nazwę od rzeki Ślęzy, tak Biezuńczanie mogli mieszkać nad Bierawą¹¹. Na uwagę zasługuje przy tym fakt, że pierwotnie badacz uważał Biezuńczan za szczep mazowiecki, a dopiero potem zapoznając się z topografią Górnego Śląska zmienił zdanie. Z wniosków autora wyłania się obraz związków plemion polsko-łużycko-śląsko-morawskich; co więcej wysuwa on przypuszczenie, które sam określa jako śmiałe, o istnieniu przedchrześcijańskiej konstrukcji politycznej na ziemiach górnej Odry i Wisły¹².

Nieco późniejszego okresu dotyczy praca Zakrzewskiego *Śląsk i Morawy za Mieszka I*, opublikowana w „Kwartalniku Historycznym”, t. 31, Lwów 1917. W rozprawie tej autor krytycznie odnosi się do twierdzenia, jakoby Mieszko I w 990 roku odebrał Bolesławowi II czeskiemu Śląsk, udowadniając w swoim wywodzie, że chodziło tu o Morawy. Co więcej – ów podbój miał miejsce wcześniej, około 981 roku, i uniemożliwił Mieszkowi obronę grodów czerwieńskich przed Rusią, pozostającą wówczas w dobrych stosunkach z Czechami¹³. Można tu wysnuć ciekawy wniosek, a mianowicie odwrotnie do czasów późniejszych, kiedy Polska angażowała się w ekspansję na wschodzie, zaniedbując (przynajmniej zdaniem niektórych historyków) szanse odzyskania Śląska, w czasach Mieszka I utraciła (przejściowo) tereny wschodnie wskutek ekspansji na zachodzie.

⁹ MPH, t. VI, Kraków 1893, s. 534–591

¹⁰ O. Balzer. *Walka o tron krakowski w l. 1201–1210*. W: *Rozprawy Wydziału Historyczno-Filozoficznego AU*, t. 30, Kraków 1890, s. 58

¹¹ S. Zakrzewski. *Opis grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju, czyli t.z. Geograf Bawarski*. Lwów 1917, s. 69

¹² Tamże, s. 74

¹³ Tenże, *Śląsk i Morawy za Mieszka I*. „Kwartalnik Historyczny”, t. 31, Lwów 1917, s. 1–14

Lwowskie prace mediewistyczne dotyczące Śląska nie koncentrowały się jedynie na dziejach politycznych. Tak np. znany później z krytyki powieści historycznych Sienkiewicza Olgierd Górka, jeden z wielu uczniów Stanisława Zakrzewskiego, napisał rozprawę *Studia nad dziejami Śląska. Najstarsza tradycja opactwa cysterskiego w Lubiążu*, wydaną jednocześnie w 1911 roku we Lwowie po polsku i we Wrocławiu po niemiecku. Stosunków społeczno-gospodarczych w średniowiecznej Polsce dotyczyła praca Adama Szelaǳowskiego *Chłopi – dziedzice we wsiach na prawie polskim do końca XIII wieku (Studia nad historią prawa polskiego)*, red. O. Balzer, t. 1, Lwów 1899), w której znaczną część wywodów poświęcono temu problemowi na Śląsku. Adam Szelaǳowski, od 1919 roku profesor i kierownik pierwszej w Polsce Katedry Historii Gospodarczej UJK, postać barwna i kontrowersyjna ze względu na życie osobiste, zajmował się także dziejami nowożytnymi. Znana jest jego praca *Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego*, wydana w 1904 roku we Lwowie nakładem zaśluzonej Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, a jednocześnie w Warszawie przez E. Wendego i spółkę (była ona II częścią serii *Sprawa północna w wiekach XVI i XVII*). Jednym z zagadnień poruszanych przez autora była sprawa powrotu Śląska do Polski jako możliwa wówczas konsekwencja wydarzeń europejskich. Temat ten Szelaǳowski poruszył wcześniej w artykule *Przynależność Śląska do Polski za Zygmunta III* („Tygodnik Ilustrowany”, 1902). Zagadnienie związków Śląska z Polską było – jak widać – wciąż żywe dla lwowskich historyków. Jednym z nich był znany m.in. z opracowania dziejów Lwowa, wydanych w 1894 roku, a wznawianych nawet współcześnie – Fryderyk Papée (od 1905 roku dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej). W nr. 197/198 „Gazety Lwowskiej” z 1895 roku opublikował on artykuł *Polityka Jagiellonów wobec Śląska*.

Trzeba stwierdzić, że na XVII wieku zainteresowanie historyków lwowskich Śląskiem w epoce galicyjskiej się kończy. Nowsze dzieje Śląska – epoka fryderycjańska, czasy industrializacji – nie były przez nich badane i pozostawione nauce niemieckiej. Nie znaczy to oczywiście, że sprawy Śląska nie interesowały społeczności Lwowa i Galicji.

Tak np. w 1909 roku wydano tu dzieło Józefa Buzka *Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków od traktatów wiedeńskich do ustaw wyjątkowych z roku 1908*. Autor był cieszyńnianinem ze znanej także współcześnie rodziny, prawnikiem i statystykiem, od 1904 roku profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Lwowskiego. Sytuacja zmieniła się pod koniec I wojny światowej, kiedy zrodziła się perspektywa wskrzeszenia państwa polskiego i wcielenia doń Śląska – przynajmniej Górnego. Nauka polska – w tym także lwowska – stała się do walki o polskie interesy narodowe i państwowe, przede wszystkim podczas konferencji pokojowej w Wersalu. Delegacja polska, politycznie kierowana przez Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, wsparła się na licznej grupie ekspertów z polskich uniwersytetów. Uczniowie lwowscy, którzy wywarli największy wpływ na prace konferencji, to przede wszystkim obok wspomnianego Józefa Buzka znany geograf i geopolityk Eugeniusz Romer oraz Franciszek Bujak, wybitny znawca dziejów społeczno-gospodarczych Polski (podczas konferencji wersalskiej był na krótko profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, a od roku 1920 na cały okres II RP objął stanowisko kierownika Zakładu Historii Społeczno-Gospodarczej UJK). Uczniowie ci zasiadali w Komisji Zaboru Pruskiego oraz Komisji Śląska Cieszyńskiego i tam posługując się zgromadzoną wiedzą argumentowali na rzecz najbardziej na korzyść Polski zorientowanych decyzji mocarstw. Eugeniusz Romer opisał obszernie te prace w swoim *Pamiętniku paryskim*¹⁴. Franciszek Bujak w swoich badaniach nad historią społeczno-gospodarczą Polski wiele miejsca poświęcał sprawom Śląska, co po II wojnie światowej znalazło wyraz w jego udziale w Radzie Naukowej dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych (gdzie zasiadał także Eugeniusz Romer). O roli obu uczonych w pracach Rady pisał autor artykułu w „Przeglądzie Zachodnim”:

Można powiedzieć, że tak pierwsza jak druga sesja odbyły się jak gdyby pod patronatem prof. Romera i drugiego, najstarszego po nim członka Rady, prof. Franciszka Bujaka. Dwaj ci koryfeuszowie nauki polskiej nie

¹⁴ E. Romer. *Pamiętnik paryski (1918–1919)*. Wyd. II, cz. 1 i 2, Łódź 2010

omijają żadnego posiedzenia, by wytrawnym swym sądem, opartym na wyjątkowo rozległej wiedzy i bogatym doświadczeniu, przyczynić się do wyświetlenia omawianych zagadnień. Wysuwają się oni na czoło Rady nie tylko pod względem wieku, lecz także świeżością i postępowością poglądów oraz żywością zainteresowań dla spraw ziem odzyskanych¹⁵.

W ramach tej działalności Bujak opublikował wówczas takie pozycje, jak *Ogólny zarys osadnictwa niemieckiego na zachodnich ziemiach Polski* (Kraków 1945) oraz *Nasze prawa do Prus polskich. Ogólne uwagi historyczne oraz rys historyczny wsi na ziemiach odzyskanych* (Warszawa 1947). Sprawami tymi zajmowali się także jego uczniowie, przede wszystkim Stefan Inglot, który tuż przed wybuchem II wojny światowej uzyskał we Lwowie tytuł profesora historii społecznej i gospodarczej. W 1927 roku wydał on we Lwowie pracę *Stosunki społeczno-gospodarcze ludności w dobrach biskupstwa wrocławskiego w pierwszej połowie XVI wieku*; o jej znaczeniu świadczy fakt, że w 1992 roku Uniwersytet Wrocławski wydał reprint tejże pracy (przypadła wówczas 90. rocznica urodzin autora)¹⁶. Swoją karierę naukową Stefan Inglot po wojnie kontynuował bowiem jeszcze przez wiele lat we Wrocławiu, o czym będzie mowa poniżej.

Aby poznać stan wiedzy środowiska lwowskiego – nie tylko naukowego – o Górnym Śląsku w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości, warto sięgnąć do wydanego w roku 1924 *Ilustrowanego przewodnika po województwie śląskim*¹⁷ autorstwa ojca polskiego krajoznawstwa, lwowskiego prawnika i historyka sztuki Mieczysława Orłowicza. Była to ziemia nieznaną, obca, ale postrzegana jako wielkie bogactwo i szansa dla Polski. Podjęto też wiele wysił-

ku, aby ją lepiej poznać i pokazać polskiemu społeczeństwu. W latach międzywojennych badania naukowe nad dziejami Śląska (zwłaszcza Górnego) uzyskały potężny bodziec i oparcie organizacyjno-finansowe w postaci mecenatu wojewody śląskiego (od 1926 roku) Michała Grażyńskiego. Dążąc do przełamania dominacji nauki niemieckiej inspirował on (a także – poprzez Skarb Śląski – finansował) badania uczonych polskich w różnych dziedzinach wiedzy o Śląsku, w tym także nad jego historią. Stroną organizacyjną tych badań zajęli lwowianin Roman Lutman, absolwent UJK, prawnik i historyk, ale przede wszystkim znakomity organizator badań naukowych. Już w okresie powstań śląskich przybył – podobnie jak inni lwowscy studenci – na teren objęty plebiscytem z pomocą tutejszym polskim działaczom narodowym; był m.in. redaktorem pisma „Powstaniec”. Ponownie znalazł się w Katowicach w 1928 roku, jako zwolennik sanacji wiążąc się z obozem politycznym wojewody Grażyńskiego; w 1930 roku został dyrektorem utworzonej na bazie Biblioteki Sejmu Śląskiego Biblioteki Śląskiej, a w 1934 roku Instytutu Śląskiego. Na tym stanowisku położył wielkie zasługi dla organizacji badań naukowych nad różnymi dziedzinami wiedzy o Śląsku. Redagował wraz z Franciszkiem Popiolkim pismo „Zaranie Śląskie”, wznowione w 1929 roku, zawierające w poszczególnych rocznikach wiele artykułów cennych dla historii i kultury Śląska. Pod jego redakcją powstało w 1936 roku kompendium pod tytułem *Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku*, stanowiące podsumowanie dotychczasowych badań oraz rysujące perspektywę i potrzebę dalszych, przede wszystkim w odpowiedzi na niemieckie dokonania i zamierzenia w tej dziedzinie; syntetyczne ujęcie tego problemu omówił we *Wstępie*¹⁸. Dział *Historia* opracował w tym dziele Karol Piotrowicz, krakowianin, dyrektor Biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności i członek Zarządu Głównego PTH, późniejsza ofiara zbrodni katyńskiej¹⁹, dział *Historia sztuki* zaś – Mieczysław Gębarowicz, wybitny historyk sztuki, profesor

¹⁵ R. Buławski. *Rada Naukowa dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych*. W: *Przegląd Zachodni* 2, 1946, s.117

¹⁶ S. Inglot. *Stosunki społeczno-gospodarcze ludności w dobrach biskupstwa wrocławskiego w pierwszej połowie XVI wieku*. Lwów 1927, wyd. nowe Wrocław 1992 (reprodukcja oryginału)

¹⁷ M. Orłowicz. *Ilustrowany przewodnik po województwie śląskim*, wyd. Książnica Polska Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych, Warszawa-Lwów 1924

¹⁸ *Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku*, red. Roman Lutman. Katowice 1936

¹⁹ K. Piotrowicz. *Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie historii*. Tamże, s. 311–369

UJK, pozostały we Lwowie aż do śmierci w roku 1984.

Trzeba tu skonstatować, że badania nad historią Górnego Śląska prowadzili w tym okresie głównie uczeni krakowscy, co zapoczątkował referat Jana Dąbrowskiego, mediewisty z UJ, wygłoszony podczas IV Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu w 1925 roku (w referacie pod tytułem *Pierwsze zasady badania dziejów Śląska* autor stwierdzał całkowitą wówczas dominację nauki niemieckiej na tym polu)²⁰. Wkrótce też przy Oddziale Krakowskim PTH powstała Sekcja Śląska (od 1928 roku Komitet Historii Śląska do XIV wieku), a w 1933 roku Komitet Wydawnictw Śląskich, kierowany przez Stanisława Kutrzebę. Do wybuchu wojny zdołał on przygotować i wydać trzy tomy *Historii Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400* (tom I pod redakcją Kutrzeby – tylko zeszyt 1). Tom III, wydany w 1936 roku, redagował Władysław Semkowicz, syn Aleksandra, wybitny znawca nauk pomocniczych historii. Semkowicz to lwowianin, ale wówczas reprezentujący już środowisko krakowskie; uniwersytet lwowski reprezentowali wśród autorów tomu wspomniany Mieczysław Gębarowicz (także wieloletni pracownik Ossolineum) oraz inny wybitny historyk sztuki Władysław Podlacha.²¹

Spośród uczonych lwowskich Instytut Śląski zaprosił do współpracy m.in. kustosza Ossolineum – Władysława Wisłockiego. Dokonał on obszernej analizy zgromadzonych materiałów do bibliografii śląskiej, a także opracował plan prac nad bibliografią, której redagowanie mu powierzono. Niestety rychły wybuch wojny zamierzenia te udaremnił²². Warto też wspomnieć, że nawiązano współpracę z kresowymi instytucjami naukowymi poza Lwowem, a mianowicie z Wołyńskim Instytutem Naukowym w Krzemieńcu oraz Instytutem Naukowym Podolskim w Tarnopolu²³.

Można zadać pytanie, dlaczego w okresie międzywojennym tak prężny ośrodek historyczny, jakim był Lwów (tu nadal mieściła się najpoważniejsza poza uniwersytetami placówka badawcza nauk humanistycznych, jaką było Ossolineum; prezesami Polskiego Towarzystwa Historycznego byli lwowscy historycy Stanisław Zakrzewski i Franciszek Bujak) odegrał w badaniach historii Śląska rolę mniej znaczącą od Krakowa. Było tak istotnie, a jednym z dowodów może być tematyka rozpraw doktorskich z historii bronionych w latach 1918–1939 we Lwowie – na 149 prac tylko jedna dotyczyła dziejów Śląska (*Jadwiga księżna śląska 1180–1243* Jadwigi Suchoniówny, przygotowana pod kierunkiem Stanisława Zakrzewskiego)²⁴. Odpowiedź nie jest jednoznaczna; jest to zrozumiałe ze względu na bliskość geograficzną i związki z Uniwersytetem Jagiellońskim ówczesnego wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego, głównego promotora tych badań, ale na tym nie można poprzestać. Na pewno wyjaśnienie nie tkwi w odmiennych od sanacyjnego wojewody Grażyńskiego poglądach politycznych lwowskich historyków; najbardziej znani, jak Zakrzewski (w latach 1930–1935 senator z ramienia BBWR), Szełągowski, także Finkel, Ptaśnik, Olgierd Górka byli zwolennikami – jeśli nie czynnymi, to biernymi marszałka Piłsudskiego. Wydaje się prawdopodobne, że dokonał się tu pewien podział ról – o ile Kraków bronił polskości Kresów Zachodnich, czyli przede wszystkim Górnego Śląska (wystarczy przypomnieć prof. Henryka Pachoskiego i Towarzystwo Obrony Zachodnich Kresów Polski), o tyle lwowianie broniły polskości Kresów Południowo-Wschodnich. Jak zbadała Joanna Pisulińska, aż 88% historyków lwowskich pochodziło z samego Lwowa i Galicji (dla porównania dla Krakowa ten współczynnik wynosił 71,8%), a tematyka podejmowanych przez nich prac była w najwyższym stopniu w stosunku do innych polskich ośrodków historycznych – regionalna. Składa się na to z jednej strony udział w środowisku historyków ukraińskich, najchętniej podejmujących taką właśnie tematykę, a z drugiej – chęć

²⁰ J. Dąbrowski. *Pierwsze zasady badania dziejów Śląska*. W: *Pamiętnik IV Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu*. Lwów 1925, s. 1–7

²¹ *Historia Śląska od czasów najdawniejszych do roku 1400*. T. 3, pod red. Władysława Semkowicza, Kraków 1936

²² *Sprawozdanie Dyrekcji Instytutu Śląskiego za rok 1938/39*, Seria III, Komunikat nr 50, s. 5–6

²³ Tamże, s. 7

²⁴ J. Pisulińska. *Doktoraty historyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza 1918–1939*. W: *Wielokulturowe środowisko historyczne Lwowa w XIX i XX w....*, s. 249

i potrzeba polemiki z nimi ze strony historyków polskich²⁵. Lwów wyróżniał się także stosunkowo często podejmowaną tematyką społeczno-gospodarczą, co jednak przypisuje się tak wybitnej osobowości, jaką był Franciszek Bujak. W ślad za tym szła niewielka ilość syntez historycznych (opracowywał je głównie Adam Szelągowski, a w zakresie podręczników szkolnych Czesław Nanke)²⁶. Tak więc historycy lwowscy, podobnie jak ich krakowscy koledzy, realizowali także swój patriotyczny obowiązek, ale na innym polu; oczywiście nie oznacza to, że stronili od tematyki śląskiej i kontaktów ze Śląskiem (na przykład wizyty w Katowicach Stanisława Zakrzewskiego w ramach działalności PTH).

Ważny reprezentant środowiska lwowskich historyków przybyły na Śląsk na zaproszenie wojewody Grażyńskiego to Michał Antonów, który w 1931 roku uzyskał doktorat na UJK pod kierunkiem Stanisława Zakrzewskiego (prawdopodobnie polecony przez niego wojewodzie). Od 1932 roku w Katowicach, twórca i kierownik Archiwum Akt Dawnych Województwa Śląskiego; wielkim jego osiągnięciem było pozyskanie i zabezpieczenie największego na Śląsku archiwum prywatnego – ksiąg pszczyńskich. Latem 1939 roku dzięki jego staraniom wywieziono i zabezpieczono przed Niemcami cenne materiały archiwalne, m.in. dotyczące powstań śląskich. Po wojnie spędzonej we Lwowie, gdzie zajmował się tajnym nauczaniem, powrócił do Katowic i tu aż do 1970 roku nadal kierował Archiwum Państwowym; uznany za ojca polskiej archiwistyki na Górnym Śląsku, powszechnie z tego tytułu szanowany (jego imię nosi pracownia naukowa w Archiwum Państwowym w Katowicach, obecnie przeniesionym z gmachu Urzędu Wojewódzkiego do nowej siedziby w dzielnicy Józefowiec). Należy dodać, że Michał Antonów w okresie powojennym zajmował się także badaniem najnowszych dziejów Śląska²⁷.

Po wojnie do swojej działalności na Śląsku powrócił także Roman Lutman. W latach 1945–1948 pełnił ponownie funkcję dyrek-

tora Instytutu Śląskiego; w tym charakterze zredagował wraz z Kazimierzem Popiołkiem popularyzatorską pracę zbiorową pod tytułem *Śląsk. Ziemia i ludzie*²⁸. Po 1948 roku, kiedy to na fali narastającego stalinizmu Instytut zlikwidowano, pracował we wrocławskim już wówczas Ossolineum; w 1957 roku Instytut Śląski reaktywowano, ale z siedzibą w Opolu, a Lutman ponownie – do 1963 roku – był jego dyrektorem. Tak więc sam będąc autorem niewielkiej liczby publikacji historycznych dotyczących Górnego Śląska zarówno przed, jak i po wojnie niezwykle przyczynił się do ich powstawania²⁹.

Zmiany spowodowane II wojną światową i w jej następstwie decyzjami jałtańskimi oznaczały koniec działalności ukształtowanego od czasów galicyjskich lwowskiego środowiska historycznego, które utraciło swoje warsztaty pracy oraz główne pole zainteresowań – ziemie wschodnie Rzeczypospolitej i ich burzliwe dzieje. We Lwowie pozostali nieliczni polscy uczeni, jak wspomniany Mieczysław Gębarowicz; inni, którzy przeżyli wojnę, opuścili miasto, podobnie jak niemal wszyscy polscy jego mieszkańcy i rozpoczęli pracę w ośrodkach naukowych na terenie Polski w nowych granicach. Można ich określić jako spadkobierców lwowskiego środowiska historycznego, które ich wykształciło i naukowo ukształtowało. Miejscem pobytu wielu lwowian, w tym i historyków, stał się Wrocław; w odróżnieniu od profesorów Politechniki Lwowskiej, którzy w większości utworzyli Politechnikę Śląską w Gliwicach, środowisko UJK z rektorem Stanisławem Kulczyńskim skupiło się na Uniwersytecie Wrocławskim. Wśród historyków o większym przedwojennym dorobku znaleźli się tu przede wszystkim Karol i Ewa Maleczyńscy oraz Stefan Ingłot i Marian Haisig.

Karol i Ewa (z d. Szeweigerówna) Maleczyńscy byli jak wielu lwowskich historyków uczniami Stanisława Zakrzewskiego. Karol już od maja 1945 roku organizował Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, a Ewa przybyła tu z Krakowa w 1946 roku. Większość swoich zainteresowań poświę-

²⁵ J. Pisulińska. *Lwowskie środowisko historyczne w okresie międzywojennym*. Rzeszów 2012, s. 178

²⁶ Tamże, s. 181

²⁷ <http://katowice.wyborcza.pl/katowice/1,35063,18875072,plebiscyt-na-katowiczanie-150-lecia-michal-antonow-1903-1985.html>

²⁸ *Śląsk. Ziemia i ludzie*. Praca zbiorowa pod red. Romana Lutmana i Kazimierza Popiołka. Katowice–Wrocław 1948

²⁹ Zob. J. Glensk. Roman Lutman. *Encyklopedia wiedzy o Śląsku*. Opole 1986

cili Śląskowi, przede wszystkim Dolnemu i Wrocławowi, dla którego Karol Maleczyński opracował nawet herb, odwołujący się do polskiego rodowodu miasta (obowiązywał do 1990 roku)³⁰. W wyniku prac badawczych pod jego kierunkiem zaczęto wydawanie trzytomowej *Historii Śląska*; tom I (do roku 1763) ukazał się we Wrocławiu w latach 1960–1963, a następnie już pod redakcją jego uczniów i współpracowników do roku 1985. Wcześniej, bo w roku 1953, wydano pod redakcją Ewy Maleczyńskiej zbiór pod tytułem *Szkice z dziejów Śląska* (sama napisała jeden z artykułów, a jej mąż dwa)³¹ – w latach 1955–1956 wznowiono tom I, a także wydano tom II *Szkiców*. Maleczyńska była też wieloletnią redaktorką śląskiego kwartalnika historycznego „Sobotka”.

Stefan Ingłot był przede wszystkim badaczem dziejów wsi i chłopów polskich. W latach 1924–1945 obok pracy na UJK był także pracownikiem Ossolineum, które po wojnie znalazło swoją nową siedzibę we Wrocławiu. Podobnie jak jego mistrz Franciszek Bujak, w latach powojennych publikował na podstawie wcześniej prowadzonych badań prace historyczne ukazujące polskie korzenie Śląska, jak np. *Wieś i chłop śląski na przestrzeni wieków* (Wrocław 1948). W ciągu długiej i bogatej kariery naukowej opracowywał zarówno syntezę, jak i monografie czy też wydania źródeł – warto wymienić np. *Instrukcja gospodarcza dla dóbr pszczyńskich; od połowy XVII do początku XIX wieku*, których współautorem był Leszek Wiatrowski (Wrocław 1963).

Marian Haisig to najbardziej znany polski sfragystyk. Urodzony we Lwowie, tu ukończył studia historyczne jako uczeń Jana Ptaśnika i został zatrudniony w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii UJK. Po wojnie we Wrocławiu prowadził badania w dużym stopniu poświęcone śląskim herbom i pieczęciom (jak np. *Śląski rodowód państwowego godła Polski*, wyd. w 1993 roku). Zmarł w 1996 roku.

Należy wreszcie wspomnieć o Zygmuncie Wojciechowskim, założycielu i pierwszym dyrektorsze Instytutu Zachodniego w Pozna-

niu. Urodzony w Stryju, w 1924 roku został doktorem historii i asystentem w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii UJK. Od następnego jednak roku przeniósł się do Poznania, gdzie pracował do końca życia, wiele uwagi poświęcając historii Śląska, zwłaszcza średniowiecznej (w Instytucie Śląskim wydał w 1935 roku broszurę *Udział Śląska w dawnym zjednoczeniu ziem polskich*, a jeszcze przed wybuchem wojny, w 1939 roku – książkę *Polska nad Wisłą i Odrą w X wieku*)³².

Lwowskie środowisko historyczne zajmowało się dziejami Śląska (także Górnego) przede wszystkim jako częścią dziejów ziem polskich. Dotyczy to prac mediewistycznych z historii politycznej, poczynając od Stanisława Smolki poprzez Stanisława Zakrzewskiego aż po jego licznych uczniów, którzy kontynuowali te prace po II wojnie, jak i prac z historii społeczno-gospodarczej – Franciszek Bujak, Stefan Ingłot. W okresie międzywojennym główną rolę w organizacji i prowadzeniu badań nad dziejami Śląska odgrywało środowisko krakowskie, a lwowianie angażowali się w nie obok swego głównego pola zainteresowań, jakim były ziemie wschodnie i stosunki z wschodnimi sąsiadami Polski. Oprócz historyków lwowskich *sensu stricto* należy też pamiętać o zasługach bliskich im zainteresowaniach i społeczną pasją uczonych takich jak Eugeniusz Romer, Józef Buzek czy Mieczysław Gębarowicz. Po II wojnie światowej wiodącą rolę w badaniach nad dziejami Śląska przejął Wrocław; wynikało to między innymi z osiedlenia się tam grupy lwowskich historyków i poszukiwania przez nich nowego pola badań naukowych. Należy także pamiętać, że stał się on nową siedzibą przeniesionego tu niestety bez znacznej części gromadzonych przez dziesiątki lat zbiorów – lwowskiego Ossolineum. Przedstawicielami lwowskiej szkoły historycznej w latach powojennych (choć od lat międzywojennych już poza Lwowem) byli także – co zasługuje na podkreślenie – pierwsi dyrektorzy Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach – potem w Opolu (Roman Lutman) i Instytutu Zachodniego w Poznaniu (Zygmunt Wojciechowski).

³⁰ <http://sobotka.uni.wroc.pl/karol-maleczynski/>

³¹ Por. wnikliwa recenzja autorstwa Kazimierza Piwarskiego. http://sobotka.uni.wroc.pl/wp-content/uploads/2017/06/Sobotka_10_1955_1-2_262-272.pdf

³² Por. Marian Mroczko. *Zygmunt Wojciechowski jako historyk polskich Ziemi Zachodnich oraz stosunków polsko-niemieckich*. W: *Przegląd Zachodni* 1985, nr 1

Ewelina Hrycaj-Mańnicz, Paweł Brzegowy

Dwadzieścia pięć lat działalności Lwowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku

Dwadzieścia pięć lat temu – 7 czerwca 1994 r. powstał we Lwowie polski Uniwersytet Trzeciego Wieku (LUTW), będący również pierwszym UTW na Ukrainie. Inicjatorką założenia LUTW była dyrektor Mokotowskiego UTW w Warszawie dr inż. Zofia Iwanicka, która urodziła się we Lwowie, spędziła tam młodość i zachowała miłość do rodzinnego miasta na całe życie. Współzałożycielami i pierwszymi prezesami LUTW byli nieżyjący już doc. dr n. fiz. Andrzej Otko i doc. dr hab. n. med. Krystyna Węgier-Maksymowicz (1994–1997), którzy wykonali ogromną pracę i włożyli wiele serca w zrealizowanie tej inicjatywy. LUTW został powołany i funkcjonuje przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL).

Otwarcie LUTW było wielkim wydarzeniem dla mieszkających we Lwowie Polaków pragnących zrzeszać się w narodowych organizacjach społecznych. Obecnych na zebraniu inauguracyjnym pobłogosławił ówczesny kapelan stołecznego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa śp. ks. Janusz Popławski (1922–2002), życząc sukcesów i pomyślnego rozwoju Uniwersytetu. Do pierwszego Zarządu LUTW wybrano Teresę Adamską, Jadwigę Głowalę, Władysława Łokietkę, Martę Markinię, Wandę Piwońską-Kazimirowicz, Bolesława Sudomłaka, Wacława Szymańskiego, Irenę Zappe oraz Janinę Zamojską. Niestety pierwsi prezesi z różnych powodów kierowali działalnością LUTW krótko. W październiku 1997 r. na walnym zebraniu LUTW prezesem wybrano Henrykę Harazdę (1998–2003), a przewodniczącą Rady Słuchaczy została doc. dr n. med. Ewelina Hrycaj-Mańnicz. W czerwcu 2000 r. Henrykę Harazdę, która pracy w LUTW poświęcała wszystkie swoje siły, umiejętności i czas, powtórnie powołano na prezesa, a do Zarządu weszli: Józef Bernad, Bogusława Czerna, Maria Grzegocka, Mieczysław Heller, Alina Hryckiwi, Bronisława Melnarowicz, Cecylia Sikora i Bolesław Sudomłak. Po śmierci Henryki Harazdy prezesem LUTW została Zofia Kosydor, a od

lutego 2010 r. obowiązki prezesa pełni doc. dr n. med. Ewelina Hrycaj-Mańnicz. Liczba słuchaczy LUTW w różnych okresach jego działalności wahała się w przedziale 200–300 osób. W ostatnich latach, w związku ze starzeniem się społeczności polskiej we Lwowie, nastąpił spadek liczby studentów. Słuchacze, o zróżnicowanym wykształceniu, w przeważającej większości mają 70–80 lat i więcej.

Nie ulega wątpliwości, że założenie ćwierć wieku temu LUTW z oczywistych powodów było bardzo potrzebne mieszkającym we Lwowie Polakom. Z jednej strony był to okres, gdy na Ukrainie nastąpiła odwilż polityczna, sprzyjająca zakładaniu polskich organizacji społecznych, w tym TKPZL w 1988 r., które po dzień dzisiejszy jest największą polską organizacją społeczną i najdłużej działającą w czasach powojennych. Z drugiej strony, starsze pokolenie Polaków żyjących we Lwowie odczuwało zauważalną chęć konsolidacji, wsparcia w towarzyszących im potrzebach wiekowych, narodowych, językowych, w zachowaniu zwyczajów i tradycji. Właśnie takie zadania realizuje LUTW, dodatkowo pomagając w zachowaniu i zwiększeniu sprawności intelektualnej, psy-



Okladka broszury wydanej z okazji 25-lecia LUTW.

chicznej i fizycznej podopiecznych. Założeniu LUTW przyświecało jeszcze ważniejsze zadanie: umożliwienie Polakom starszego pokolenia częstszych kontaktów w języku ojczystym oraz zachowanie i rozwijanie polskich obyczajów.

Głównym kierunkiem działalności LUTW na przestrzeni minionych lat była i pozostaje nieustanna edukacja słuchaczy, mająca na celu aktualizowanie posiadanej przez nich wiedzy, zdobywanie nowych umiejętności, poprawę jakości życia oraz wydłużenie aktywności umysłowej i fizycznej. Działalność edukacyjna jest planowana przez Radę Słuchaczy LUTW. Najczęściej jest ona realizowana w formie wykładów organizowanych dwa razy w miesiącu w sali gimnastycznej Szkoły Średniej nr 10 im. św. Marii Magdaleny we Lwowie. W związku z brakiem własnej siedziby LUTW i ograniczonym budżetem niezbędnym do prowadzenia edukacji na odpowiednim poziomie, spotkania te niestety nie mogą odbywać się częściej. W roli prelegentów LUTW występują różni specjaliści w zależności od planowanej tematyki i innych okoliczności. Bardzo często wykłady są przygotowywane przez kierunkowo wykształconych członków LUTW i przychylnych nam pracowników lwowskich uczelni wyższych. O ogromną pomoc okazali LUTW specjalnie zapraszani lub z różnych powodów obecni we Lwowie uczeni z Polski, za co jesteśmy im bezgranicznie wdzięczni.

Słuchacze LUTW to wielcy patrioci, dlatego szczególnym zainteresowaniem cieszą się wykłady o tematyce historycznej, przede wszystkim z historii Polski i Lwowa. W okresie 25 lat działalności LUTW najwięcej referatów o takiej tematyce wygłosili historycy z Polski, a także pasjonaci historii z grona naszych studentów: Bogusława Czerna, Zbigniew Pakosz, Jerzy Komorowski i Jan Tysson. W tym miejscu należy przypomnieć wystąpienie prof. dra hab. Andrzeja Zięby *Metropolita Szeptycki a Polacy* oraz wykład Zbigniewa Durczoka z Krzeszowic, poświęcony życiu i działalności gen. Stanisława Sosabowskiego. Ważne miejsce w działalności edukacyjnej LUTW odegrały prelekcje z różnych obszarów kultury: literatury, sztuki i muzyki. Wśród spotkań z zakresu literatury polskiej najwięcej uwagi poświęcono pisarzom i poetom oraz działalności literackiej dotyczącej Lwowa. Były to referaty o ży-

ciu i twórczości Marii Konopnickiej, Gabrieli Zapolskiej, Zbigniewa Herberta oraz wielu innych. Prelekcje o takiej tematyce niejednokrotnie wygłaszały nasze członkinie: Bogusława Czerna i Halina Prokofiewa. Cykl wykładów mających na celu zapoznanie studentów z bogactwem różnych dziedzin sztuki, przeprowadził poważnie zaangażowany w sprawę edukacji seniorów wieloletni członek zarządu LUTW Jerzy Komorowski. Wykorzystanie techniki audiowizualnej na spotkaniach poświęconych malarstwu, życiu i działalności wybitnych malarzy o światowej sławie (Rembrandta, Leonarda da Vinci i in.), a także polskich artystów, jak Jan Matejko, Juliusz i Wojciech Kossakowie, Jan Styka, stało się częstą praktyką i znacznie podniosło poziom prelekcji i efektywność edukacji.

Jednym z najważniejszych zadań LUTW jest działalność prozdrowotna. W związku z powyższym LUTW realizuje cykle wykładów, mających na celu przekazanie uczestnikom podstawowej wiedzy prozdrowotnej oraz przekonanie ich do prowadzenia zdrowego trybu życia. Takie wykłady, wygłaszane przez specjalistów z Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu Medycznego im. Daniela Halickiego oraz członków działającego we Lwowie i współpracującego z LUTW, założonego w 1991 r. Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, uczą podstaw leczenia i udzielania pierwszej pomocy przy nabytych przez nich schorzeniach.

LUTW działając poza granicami Polski, wykorzystuje różne możliwości edukacji seniorów. Często są to wydarzenia organizowane przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie oraz liczne polskie organizacje społeczne. Konsulat LUTW stale udziela wszechstronnej pomocy, wspiera jego działalność w nieustannie trudnej sytuacji lokalowej i finansowej. Słuchacze LUTW systematycznie od wielu lat uczęszczają na zainicjowane w 2006 r. odbywające się raz w miesiącu Spotkania Ossolińskie pod patronatem Konsula Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie, przygotowywane przez dyrektorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu i Lwowskiej Narodowej Naukowej Biblioteki Ukrainy im. W. Stefanyka. Członkowie LUTW aktywnie uczestniczyli w sześciu przeglądach współczesnych filmów polskich „Pod Wysokim Zamkiem”,

organizowanych we Lwowie przez Konsulat Generalny RP. Oglądając wyświetlane w czasie pokazów filmy o bogatej tematyce, słuchacze LUTW wzbogacili swoją wiedzę w różnych dziedzinach.

Ważne miejsce w działalności LUTW zajmuje organizacja i współorganizacja obchodów polskich świąt państwowych, wydarzeń patriotycznych, rocznic historycznych, uroczystości jubileuszowych itp. Są to akademie z okazji Dnia Niepodległości i Konstytucji 3 Maja, które poprzedza udział studentów w okazjonalnych mszach św. celebrowanych w bazylice archikatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny we Lwowie. Corocznie uczestniczymy w upamiętnieniu rocznic powstania styczniowego i listopadowego, składając wieńce i wiązanki kwiatów w miejscach pochówku ich uczestników na Cmentarzu Łyczakowskim. Szczególnie uroczystości obchodzono 150. rocznicę powstania styczniowego, w której udział wzięła 40-osobowa delegacja państwowa z Polski. Po uroczystej mszy św. celebrowanej przez abpa ks. dra Mieczysława Mokrzyckiego członkowie LUTW razem z pozostałymi uczestnikami uroczystości udali się na Górkę Powstańców Cmentarza Łyczakowskiego, gdzie spoczywa 230 osób. Złożono wieńce i wiązanki kwiatów, zapalono znicze na grobach powstańców. 17 lutego 2013 r. w LUTW przy dużej frekwencji słuchaczy odbył się odczyt z okazji 150. rocznicy powstania styczniowego.

Studenci LUTW corocznie licznie biorą udział w uroczystościach w Zadwórzcu, upamiętniających heroiczny czyn 330-osobowego batalionu dowodzonego przez Bolesława Zajączkowskiego w walce z armią bolszewicką zmierzającą na Lwów. Każdego roku pamiętamy o datach innych strasznych masowych tragedii, które miały miejsce w okrutnych czasach II wojny światowej. W lutym udajemy się do Huty Pieniackiej, gdzie rozegrał się dramat wymordowania ok. 850 osób i spalenia całej wsi, a 4 lipca we Lwowie na Wzgórzach Wuleckich oddajemy hołd bestialsko zamordowanym w 1941 r. czterdziestu uczynom lwowskim. Członkowie LUTW corocznie 1 listopada uczestniczą w organizowanej przez Konsulat Generalny RP we Lwowie akcji „Świątełko pamięci dla Łyczakowa”, roznosząc i zapalając do późnego wieczora w przydzielonych sektorach

znicze na opuszczonych grobach. W ten sposób oddają hołd i pamiętają o tych, którzy mieszkali i pracowali we Lwowie, wnieśli swoją część w historię i kulturę polską, nierzadko oddając życie za Ojczyznę. Od kilku lat taką samą akcją prowadzimy 2 listopada na Cmentarzu Janowskim, gdzie również przez długie lata byli i są chowani Polacy, i na którym kapłani lwowskiego kościoła rzymskokatolickiego odprawiają uroczystą mszę św. za zmarłych. Corocznie uroczystości obchodzimy inauguracją i zakończeniem roku akademickiego, zapraszając przedstawicieli Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, prezesa TKPZL Emila Legowicza, przedstawicieli innych polskich lwowskich organizacji społecznych. Przywołane uroczystości zazwyczaj uzupełniają koncerty chóru „Lutnia” i innych zaproszonych zespołów artystycznych.

Nasz Uniwersytet utrzymuje kontakty z wieloma UTW w Polsce, w tym z UTW Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, z UTW w Krakowie, Wrocławiu, Bydgoszczy, Rzeszowie, Kołobrzegu i in. Często jesteśmy zapraszani na ich kolejne jubileusze i inne uroczystości. Najdłuższą współpracą łączy nas z Mokotowskim UTW w Warszawie, z inicjatywy którego założono UTW we Lwowie, przez wiele lat uznawany za jego filię. W ramach współpracy corocznie przez wiele lat 10–15-osobowa grupa naszych słuchaczy wyjeżdżała do Polski na organizowany przez MUTW „Letni Uniwersytet”, gdzie uczestniczyła w lekcjach, konferencjach i warsztatach, które odbywały się w malowniczym Drohiczynie. Nasi studenci otrzymali możliwość wysłuchania prelekcji z różnych dziedzin nauki i kultury, wygłaszanych przez wybitnych uczonych. Wykłady te wiele nas nauczyły, pozwoliły zdobyć doświadczenie w planowaniu i organizowaniu działalności Uniwersytetu. Szczególnie owocnie układa się nasza wieloletnia współpraca z Akademią Trzeciego Wieku przy Miejskim Ośrodku Kultury w Olsztynie, kierowaną przez długie lata przez wspaniałego organizatora Czesława Wojniusza, a od 2016 r. przez jego następczynię – Aldonę Bagińską. Szczególnie pamiętamy spotkanie z 2013 r., gdy po raz pierwszy zwiedziliśmy Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie. Spotkali się wówczas z nami przedstawiciele rektoratu, poznaliśmy nowoczesną

i bogatą infrastrukturę naukowo-dydaktyczną oraz ofertę studiów dla osób z Ukrainy.

W czerwcu 2013 r. w Warszawie odbył się II Zjazd Ogólnopolskiego Porozumienia UTW z udziałem studentów LUTW. W dniach 24–28 czerwca 2019 r. jedenastoosobowa grupa słuchaczy LUTW uczestniczyła w XIII Europejskim Spotkaniu Integracyjnym Polskich UTW, które, jak i poprzednie, zorganizowano na wysokim poziomie, co przysporzyło nam wiele radości i zadowolenia. Pamiętamy żywo o odznaczeniu LUTW w człości inauguracyjnej XIII Spotkania Złotą Różą z okazji zbliżającego się jubileuszu 25-lecia. Dla obecnych bardzo interesujące było wystąpienie Krystyny Lewkowicz – prezes fundacji Ogólnopolskie Porozumienie UTW, która przedstawiła nowe działania i perspektywy w polityce senioralnej w Polsce na najbliższe lata. Fundacja zrzesza 120 UTW, w tym i nasz wśród pięciu zagranicznych, i podkreśla konieczność prowadzenia przez rząd odpowiedniej polityki senioralnej w związku z szybko rosnącą liczbą ludzi starszych i mnożącymi się problemami starzejących się społeczeństw. Polski rząd poparł starania Fundacji w zakresie polityki senioralnej przyjmując *Program na rzecz aktywności społecznej osób starszych na lata 2014–2020*.

Ważną częścią naszej działalności jest współpraca z Ogólnopolską Federacją Stowarzyszeń UTW (OFS UTW) z Nowego Sącza, prezesem której jest Wiesława Borczyk. OFS UTW zrzesza wiele UTW z Polski oraz kilka polskich UTW zza wschodniej granicy, m.in. LUTW. Do głównych zadań OFS UTW należą: reprezentowanie interesów ruchu UTW oraz ich członków wobec władz, organizowanie szkoleń i warsztatów dla prezesów i członków zarządów, organizowanie konferencji, seminariów i warsztatów tematycznych we współpracy z władzami samorządowymi, uczelniami i innymi organizacjami w zakresie poprawy warunków życia starszego pokolenia. W ramach współpracy z OFS UTW reprezentanci LUTW corocznie uczestniczą w Forach III Wieku w Nowym Sączu i odbywającym się równolegle w Kry-



nicy-Zdroju Forum Ekonomicznym. Czerosobowa grupa słuchaczy LUTW w dniach 4–7 września 2013 r. wzięła udział w II Forum UTW w Nowym Sączu. 5 września 2013 r. była obecna na Sesji Plenarnej XXIII Forum Ekonomicznego, na której uczestniczyła w panelach poświęconych problemom praw obywatelskich seniorów. 6 września 2013 r. prezes LUTW podpisała umowę o współpracy między OFS UTW a LUTW. Przedstawiciele LUTW reprezentowali nasz Uniwersytet na III Forum FOS UTW w Nowym Sączu oraz na XXIV Forum Ekonomicznym w Krynicy-Zdroju w 2014 r. Prezes LUTW doc. dr n. med. Ewelina Hrycaj-Mańnicz 4 września 2014 r. wystąpiła na panelu Forum III Wieku podczas Forum Ekonomicznego „Seniorzy w społeczeństwie obywatelskim – 25 lat wolności”, na którym zapoznała uczestników oraz rodaków za pośrednictwem obecnych mediów z całokształtem 20-letniej działalności LUTW z okazji jego jubileuszu. Na Forum nagłośniono również współpracę LUTW z innymi organizacjami na Ukrainie, w Polsce i w innych krajach. Uczestników Forum zainteresowało życie seniorów na Ukrainie oraz stosunek nowo powstałego państwa ukraińskiego do tego problemu w ciągu 23 lat jego istnienia. Niestety kwestia seniorów do dnia dzisiejszego w polityce rządu ukraińskiego nie jest traktowana priorytetowo.

W 2014 r. LUTW obchodził 20-lecie działalności. Z tej okazji podczas obecności naszej delegacji na III Forum prezes FOS Wiesława Borczyk 5 września na sesji plenarnej wygłosiła laudację i wręczyła nam dyplom

Doc. dr n. med. Ewelina Hrycaj-Mańnicz w towarzystwie prof. dr hab. Katarzyny Dornus, prof. nadzw. UP dra hab. Witolda Wilczyńskiego i dra Stanisława Dziedzica podczas uroczystości z okazji 25-lecia LUTW. Fot. Paweł Brzegowy

– podziękowanie za całokształt działalności. W roku 2014 we Lwowie jubileusze (łącznie z LUTW) obchodziło 14 polskich organizacji społecznych. W związku z tym Konsulat Generalny RP podjął decyzję o zorganizowaniu 22 listopada uroczystej, wspólnej akademii z okazji jubileuszów w sali Lwowskiego Narodowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej. Wśród osób nagrodzonych podczas akademii znaleźli się członkowie LUTW. Marię Sołomko – dyrygentkę działającego przy LUTW chóru „Lutnia” – odznaczono Srebrnym Krzyżem Zasługi Prezydenta RP, Jerzego Komorowskiego – Medalem 25-lecia Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, chór „Lutnia” – Dyplomem Uznania Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. W dniach 26–29 listopada 2015 r. braliśmy udział w obchodach Dni Lwowa w Warszawie zorganizowanych przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Podczas odbywającej się konferencji prezes LUTW doc. dr n. med. E. Hrycaj-Małańczak wygłosiła wykład o jego 20-letniej działalności.

Krzewieniu tradycji i obyczajów polskich oraz wzajemnej integracji Polaków we Lwowie służą corocznie organizowane spotkania opłatkowe, wielkanocne i różne inne wydarzenia okolicznościowe, jak np. udział w majówkach lwowskich w Brzuchowicach. Członkowie LUTW są zaangażowani w działalność wielu sekcji. Posiadają talenty literackie i poetyckie. Należy wymienić w tym miejscu Krystynę Angielską, Jadwigę Jamrozównę, Alicję Michałkiewicz-Romaniuk, Stanisławę Nowosad, Longinę Sikirnicką i Ewę Tajner. Ich wiersze drukowano w różnych publikacjach, w tym w antologii współczesnej polskiej poezji lwowskiej pod tytułem *My ludzie Lwowa* wydanej w 2006 r. z okazji 750-lecia miasta Lwowa. Nasza słuchaczka S. Nowosad w 2008 r. wydała tomik poezji pt. *Gdzie jesteś Ojczyzno?* W 2014 r. ukazał się drugi zbiór jej wierszy pt. *Wierność*, w których, jak w całej bogatej twórczości poetyckiej, nawołuje do trwania w wierze, nadziei i miłości, w przywiązaniu do kultury polskiej we Lwowie, do tradycji patriotycznych naszego miasta i religii katolickiej. W twórczości S. Nowosad często przywoływana jest postać naszego wielkiego rodaka papieża – św. Jana Pawła II

i wspomnienia z jego pielgrzymki do Lwowa w 2001 r.

LUTW od chwili założenia współpracuje z chórem „Lutnia”. Jego twórcą i pierwszym kierownikiem był Igor Iwanow. Dyrygentem chóru od wielu lat jest Maria Sołomko – absolwentka Lwowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Stale poszerzany repertuar chóru „Lutnia” obejmuje obecnie 130 polskich pieśni patriotycznych, religijnych, biesiadnych, lwowskich oraz kolęd. Chór „Lutnia” na bieżąco uświetnia uroczystości inauguracji i zakończenia roku akademickiego LUTW, akademie z okazji świąt państwowych: Święta Niepodległości Polski i Konstytucji 3 Maja, spotkania opłatkowe i wielkanocne, majówki w Brzuchowicach, okolicznościowe msze święte w kościołach Lwowa i obwodu lwowskiego. Chór uczestniczył w mszach św. celebrowanych pod kurhanem w Zadwórzcu w 80. i 81. rocznicę bitwy na jego polach. W dniach od 29 września do 3 października 2014 r. chór „Lutnia” brał udział w V Międzynarodowym Przeglądzie Umiejętności Artystycznych Domów Pomocy Społecznej w Dąbrowie Górniczej. Za udział w konkursie i prezentację swojego dorobku artystycznego został nagrodzony pamiątkowym pucharem Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej w ramach *Programu na rzecz aktywności społecznej osób starszych na lata 2014–2020* oraz dyplomem uznania. Podczas pobytu członkowie chóru zwiedzili Częstochowę i siedzibę zespołu Śląsk w Koszęcinie, uczestniczyli we mszy św. na Jasnej Górze. Chór „Lutnia” dwa razy występował w Olsztynie, ostatnio 27 czerwca 2019 r. podczas XIII Spotkania Polskich UTW zza Wschodniej Granicy. Pamiętnym dla chóru „Lutnia” pozostał jego występ 22 listopada 2014 r. wspólnie z chórami „Echo” i Katedry Łacińskiej na scenie Lwowskiego Narodowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej podczas uroczystej akademii z okazji jubileuszu 14 polskich organizacji łącznie z LUTW. Wówczas wspólnie odśpiewaliśmy dwie tak ważne dla Polaków pieśni – *Rotę* i *Legiony*.

Z okazji jubileuszu ćwierćwiecza istnienia LUTW, we wrześniu br. zorganizowano kilkudniowe uroczystości połączone z konferencją naukową, o których traktuje sprawozdanie zamieszczone w bieżącym numerze kwartalnika „Cracovia–Leopolis”.

Krzysztof Kołtun

Od Ostrówek do Kowla

Od lat Towarzystwo Rodzin Kresowych z Chełma odwiedza i porządkuje cmentarze na Wołyniu. Tegoroczna jesienna pielgrzymka potomków Wołyńian odwiedziła Ostrówki i Kowle: w Ostrówkach cmentarz parafialny i zbiorowy grób ponad 800 Polaków z czasów ludobójstwa 1943 r. byłych mieszkańców Woli Ostrowieckiej i Ostrówek z ekshumacji oraz częściowo zachowany stary cmentarz, w Kowlu na cmentarzu parafialnym – groby rodzinne, harcerzy, policjantów, zasłużonych i zaginionych w czasie wojen oraz kwaterę Legionistów. Informujemy, że została uporządkowana spora część cmentarza (wcześniej zarosnięta) z grobami rodzinnymi. Odświeżono stare nagrobki, niektóre dobrze zachowane, inne w części zdewastowane. Rodziny, szczególnie kolejarskie z Chełma, powinny się zainteresować i objąć opieką groby przodków. Informacją i pomocą posłużą niedaleko położony kościół św. Anny i klasztor oo. Bernardynów, a także Towarzystwo Kultury Polskiej.



Pamięć o grobach i naszych Przodkach, porządkowanie i modlitwa to katolicki obowiązek, a szczególnie na Wołyniu należy utrzymać uratowane cmentarze z historycznej niepamięci. Należy wyróżnić kwaterę przedwojenną policjantów, o których groby dbają policjanci z komend chełmskiej i lubelskiej. Dziękujemy szczególnie młodym pielgrzymom za trud i chęć pamięci o kresowych cmentarzach.

Fotografie: Jacek Gaj



Piotr Boron

CRACOVIA–LEOPOLIS WG ADAMA HR. STADNICKIEGO

Adam Stadnicki to jakże symboliczna postać. Żyjący na pograniczu dzisiejszej Polski i ziem utraconych w wyniku II wojny światowej, był żywym świadectwem naszej polskiej tożsamości, łączył swoją osobą Lwów z Krakowem, a po skonfiskowaniu jego dóbr przez państwo w wyniku tzw. reformy rolnej (6 IX 1944 r.) dokonał życia na tzw. ziemiach odzyskanych, a dokładniej na Dolnym Śląsku.

Podporządkowując się w niniejszej publikacji zasadzie, że polskie kresy przesunęły się wraz ze zmianami politycznymi całej Rzeczypospolitej na Zachód, czyli że do rozbiorów nasze kresy zaczynały się na Wschód od Kamieńca Podolskiego (którego nie mieliśmy już po pokoju ryskim 1921), a w okresie międzywojennym uznając, że na-

zwą tą można objąć ziemie utracone w 1945 roku, aż wreszcie, że dziś niektórzy uznają „na siłę”, że kresami można nazywać ziemie przyległe do granicy ukraińskiej, uznajmy, że Polska jakiegokolwiek kresy musi mieć... Polska bez kresów – czyli bez misji wobec Wschodu – istnieć nie może!

Stadniccy żyli od wieków na dzisiejszym pograniczu ruskim, czyli ukraińskim. Poważne rzeczy państwowe i narodowe załatwiali we Lwowie i w Krakowie. Właśnie ten aspekt życia Adama Stadnickiego jest treścią niniejszego artykułu, który powstał na podstawie jego własnych wspomnień oraz życiorysu opracowanego przez prof. Józefa Długosza (publikowany w „Roczniku Sądeckim”). Dziś Lwów od Krakowa oddziela granica państwowa, a postać Adama hr. Stadnickiego łączy te dwa miasta jak w nazwie czasopisma „Cracovia–Leopolis”.

Adam Stadnicki (1882–1982) urodził się 10 kwietnia we Lwowie w pałacu dziadków ze strony matki Heleny (zm. 1947 w Krakowie), czyli Sapiehów. Jego ojciec Edward Adam był absolwentem Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako student był krakowianinem, a przyjaźnił się szczególnie z przyszłym arcybiskupem metropolitą greckokatolickim lwowskim Andrzejem Szeptyckim.

Od samych początków swego życia, a nawet już z racji pochodzenia Adam „skazany był” na łączenie krakowskich i lwowskich wątków. Wcześniej osierocony przez ojca, dorastał ku odpowiedzialnemu gospodarowaniu licznymi dobrami z Nawojową na czele. Uczył się najpierw prywatnie w domu, a następnie we Lwowie i sławnym zakładzie jezuickim w Chyrowie, któremu pod względem wyposażenia, profesorów, ale i absolwentów mógłby pozazdrościć niejeden uniwersytet. Jako młody chłopak mocno przeżywał uroczystości stule-



Adam Stadnicki z małżonką Stefanią. Fot. z archiwum autora

Pałac w Nawojowej w okresie międzywojennym. Fot. z archiwum autora



cia Konstytucji 3 Maja, na które pojechał do Lwowa, oraz – trzy lata później – uroczystości kościuszkowskie, gdzie obejrzał przedstawienie Ludwika Anczyca *Kościuszko pod Racławicami* i panoramę Jana Styki. W tym samym 1894 roku podziwiał we Lwowie wystawę krajową (której honorowym komisarzem był jego dziadek Adam Sapieha) i przy tej okazji przyglądał się uroczystemu rautowi w domu bliskich krewnych – Sapiehów w ich pałacu przy ul. Kopernika 40, na który przybył cesarz Franciszek Józef I i ofiarował jego dziadkowi Adamowi order Złotego Runa. W roku 1892 uczestniczył w uroczystościach jubileuszowych bł. Kingi w Starym Sączu, na które Edward Stadnicki ufundował srebrną trumienkę z herbami obu ojczyzn Błogosławionej królowej oraz herbem rodzinnym Śreniawa. Trumienka powstała w warsztacie Glixellich w Krakowie. Z Krakowem połączyła go również postać wujka, czyli ks. Adama Stefana Sapiehy, który odwiedzał Nawojową, a potem został biskupem i metropolitą krakowskim. W dziwnych okolicznościach poznał w dzieciństwie późniejszego gen. Bolesława Roję, kierującego odsieczą dla Lwowa, która wyruszyła z Krakowa w 1918 roku. Mianowicie Roja, jeszcze jako kadet, przechadzając się po parku w Krasicyźnie został zaatakowany przez samca łabędzia, którego zabił swoim bagnecikiem. O sprawie było głośno,

a szczególnie kobiety i dzieci oplakiwały łabędzia, o którym Roja nie wiedział, że jest ulubieńcem gospodarzy.

Po studiach leśniczych (Mönachium) i ekonomicznych (Heidelberg) Adam Stadnicki zabrał się ochoczo do pracy w swoich dobrach. Liczne jego archiwalia, w tym dokumenty nauki w szkołach i dotyczące studiów przepadły, gdyż w 1953 roku władze komunistyczne dokonały rewizji Kurii Krakowskiej, gdzie zostały przez niego „na wszelki wypadek” zdeponowane u „Wujka Metropolity”.

To kolejny związek Adama Stadnickiego z Krakowem.

W 1902 roku złożył akces do Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego. W 1909 roku zakupił ponadto od Akademii Umiejętności z siedzibą w Krakowie dobra szczawnickie wraz z zakładem uzdrowiskowym (za 490 tys. koron), który poważnie dofinansował. W związku z tym cztery lata później rozpoczął działalność w Krajowym Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk we Lwowie.

Jedną z inwestycji, którą cenił sobie najwyżej, były dobra leśne wokół Rytra. Cierpiały, że ulegają dewastacji, dzierzawione przez ludzi, którzy – chcąc się szybko wzbogacić, a nie dbając o nie – karczowali całe połacie i nie sadzili w ich miejsce młodniaków. Do końca życia wspominał ten zakup jako dzieło patriotyczne, z którego był dumny, bo ocalił wiele zieleni od bezdusznego znisz-



Wesele Adama i Stefanii (rok 1910). Fot. z archiwum autora



czenia. W 1916 roku, znów przedziwnym zrządzeniem losu, gdy wreszcie udało mu się nabyć dobra ryterskie, transakcja miała miejsce w Krakowie, a z braku odpowiedniej ilości gotówki przejął zobowiązania sprzedającego względem Banku Hipotecznego we Lwowie. Przy okazji podpisywania aktów notarialnych wziął udział w uroczystej mszy św. na Wawelu z okazji utworzenia rządu Jana Kucharzewskiego z ramienia Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego. Spotkał tam Józefa Piłsudskiego i był zdegustowany, że jego entuzjaści urządzili mu prywatną fetę zamiast cieszyć się w pierwszym rządzie z oswabdzania się Polski.

Do pełnej niepodległości było jeszcze daleko, bo polskie walki o granice trwały poza 1921 rok, a Adam Stadnicki utracił kilku krewnych, w tym Stanisława Sapiehę, który zginął w obronie Lwowa. Podczas bitwy warszawskiej Adam Stadnicki przebywał w Krakowie jako działacz Związku Ziemiaków, gdzie z wielkim zaangażowaniem organizował dostawy na front.

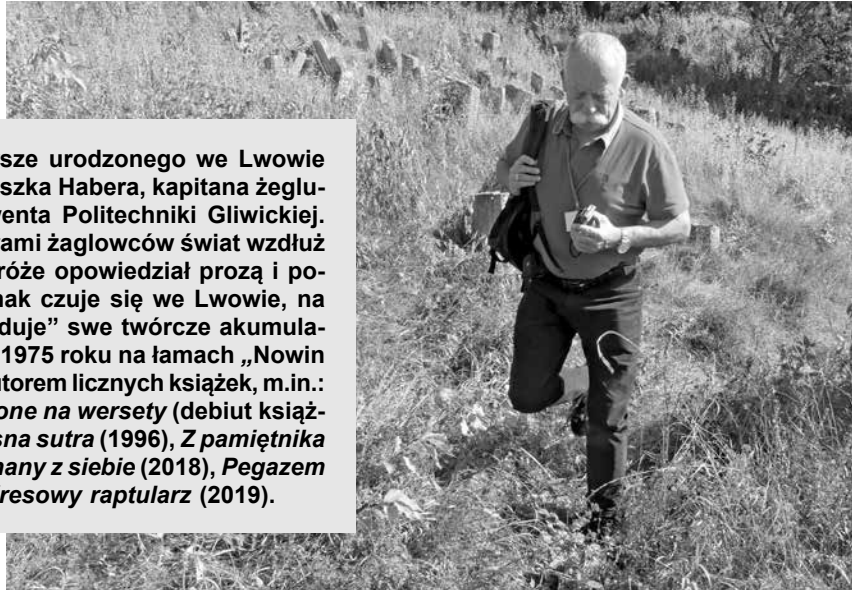
Z Krakowem połączyła Adama Stadnickiego także osoba lekarza, który udzielał mu pomocy w – jak to wówczas wydawało się – beznadziejnym stanie gorączki powyżej 40 stopni. Stadnicki zachorował bowiem w 1918 roku (prawdopodobnie w radziwiłowskich, podkrakowskich Balicach) na rodzaj

grypy, zwanej „hiszpanką”, która zbierała podczas I wojny światowej ogromne ludzkie żniwo. Prof. Łatkowski przybył do Nawojowej z Krakowa i orzekł, że nie daje większych szans. Jak wspominał te dni sam Stadnicki, uratowała go tylko modlitwa skupionej przy nim całej rodziny, a kompres z wody z Lourdes sprawił, że na rano temperatura spadła do 36,6 stopni Celsjusza i ustąpiły wszelkie symptomy chorobowe. Powrócił do żywych i znów cieszył się ukochaną żoną, licznym potomstwem, wolną Polską i sukcesami w gospodarowaniu licznymi zasobami leśnymi, szacowanymi na kilka tysięcy hektarów.

W 1922 roku został wybrany do Kuratorium Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, którą to funkcję pełnił do 1937 roku. Działając w Stronnictwie Zachowawczym, po jego połączeniu ze Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym w 1926 r. został wybrany do Rady Naczelnej jego Oddziału Krakowskiego. W 1928 r. wszedł do sekcji drzewnej Związku Przemysłowców w Krakowie. Był działaczem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie i Związku Kółek Rolniczych w Krakowie.

Jego działalność polityczną przerwała II wojna światowa i okupację, a własności został pozbawiony – ku jej upadkowi – przez powojenne władze w Polsce.

Prezentujemy wiersze urodzonego we Lwowie w 1942 roku Franciszka Habera, kapitana żeglugi wielkiej, absolwenta Politechniki Gliwickiej. Przemierzył za sterami żaglowców świat wzdłuż i wszerz. Swe podróże opowiedział prozą i poezją. Najlepiej jednak czuje się we Lwowie, na Kresach, gdzie „ładuje” swe twórcze akumulatory. Debiutował w 1975 roku na łamach „Nowin Gliwickich”. Jest autorem licznych książek, m.in.: *Warkocz rozplecione na wersety* (debiut książkowy – 1990), *Miłosna sutra* (1996), *Z pamiętnika cienia* (2018), *Wygnany z siebie* (2018), *Pegazem na Kresy* (2018), *Kresowy raptularz* (2019).



Franciszek Haber

Autor na cmentarzu żydowskim w Krzemieńcu. Fot. Janusz M. Paluch

Do Lwowa

Aura styczniowa
kilka stopni mrozu
pod nogi krztyna śniegu
w kopolach świątyń
dostojna epoka
srebra szronu

byłem dzieckiem
Plac Wilsona tonął
w płaczu wypędzonych
czekały towarowe wagony
do wywózki w nieznanne
niby odzyskane po wojnie

idę tym samym brukiem
tylko nazwy innej epoki
Bernardyński Soborny
tutaj byłem chrzczony
wazon na kolumnie
szyfruje Jana z Dukli

tramwaj zgrzyta rdzawo
w zakręt Piłsudskiego
dziś Iwana Franko
za Zieloną w Mikołaja
przy Długosza była strefa

wszy hodowla wielkiego
profesora Rudolfa Weigla
tego co chronił od tyfusu
plamistego i wywózki
wolontariuszy

czuję tutaj dziwne
sercowe przemakanie
fluidów w głąb duszy
akompaniament wzruszeń
dla chwili refleksji

stąd niedaleko
do pomieszkania
Batorego jedenaście
Kniazia Romana

pod szóstką muzykowała
radiowa wesoła fala
Włada Majewska
lwowskie batiary
wierne anioły
księstwa bałaku

niezniszczalny
bruk pamięci

Krzemieński kirkut

Uboga w drzewa dzielnica
kule jemioly olch lampiony
nad macew snem wiekowym
droga jak rodał rozwinięta

pod chmur sklepieniem
nie zbierze na modły
o powrót nawet myśli
sypią się pustki popioły
na zapomniany kirkut

idzie we mnie chwila
zapomniane schody kozicą
zbozom góry Czerczy
Rebe dlaczego tak cicho
tutaj w twoim sztetlu

topoli świece świecą
szabasowym zmierzchem
gdzie jarmarków chałaty
wspólne opowieści

tylko szmer świerszczy
w wielkiej mezuzie
krzemienieckiej ziemi
bożnica obłoków
modlitwa lkwy

Osobliwy obraz

Nie zajrzę do tamtego pokoju
z białym szlabanem i lampą na stole
z mosiężnym sklepieniem
w konstelacji opali
tam ostateczny
taniec cieni

ktoś zatrzasnął drzwi
niewidocznego domu
uświęconej kolebki
lwowskiego bałaku

zgrzytliwe nuty tramwaju
już nie zapiszą strachu
zaledwie są przywidzeniem
osobliwym obrazem

często wracającym
na przekór czasom
sygnowanym cyrylicą

Wigilia

Dzisiaj w czasie
wieczornej zmiany obrusa
stół do mnie zagadał
mówił coś o kleksach
rodzinnych obiadach
głosach zapomnianych

o blacie porysowanym
stalówką minionej epoki
o pamiętanym kałamarzu

sami robiliśmy wtedy próby
z fioletowym inkaustem
barwiąc wodę wkładem
z chemicznego ołówka

taki kolor dziś nędzny
kojarzy się z urzędem
i pychą władzy

mówił że stał zawsze
w jasnym pokoju w dużym
poniemieckim mieszkaniu
a teraz mieszka w kuchni
jakby zdegradowany
w ciemnych rejestrach
gotowanych warzyw
i upływającego czasu

w dekadach
wychodzących
z politory blatu
niepokoją szepty
o powrocie do domu
i wspólnej
codziennej kolacji

długo jeszcze
w noc wigilijną
po łamaniu opłatkiem
słyszę pod białym obrusem
nostalgiczne gderanie
o naszej przyjaźni

Wiersz ze zbioru pt. *W cieniu bliźniego*
wyd. WILGA, Warszawa, 2007

Franciszek Haber

MOJA ULICA

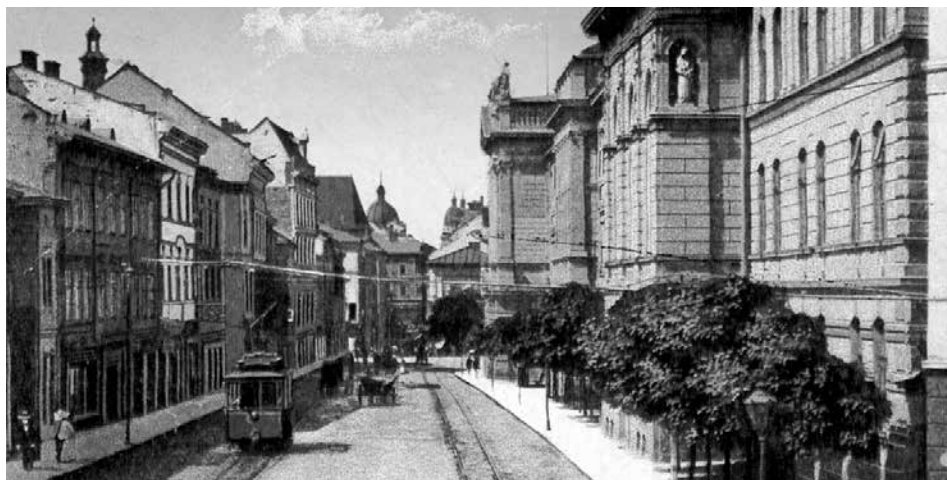
Ulica Batorego, magiczny świat antykwariuszy, których serca, zapewne oprawne w atlas i safian, kryły wrażliwość w stosach ksiąg epok różnych. Znany krytyk literacki, teatrolog Tymon Terlecki, wyznał kiedyś, że „zostawił na Batorego swoje serce”. Niedługa ta miejska arteria, kiedyś zwana Garbarską, potem Przedmieścia Halickiego, a od 1885 ulicą Batorego, biegnie z Halickiego placu do zbiegu dawnych ulic Łozińskiego, Piłsudskiego i Kochanowskiego.

Ulica z dziecinnej bajki, droga do niej odległa po ceglach czasu zmurszałych, feralnego, bo straconego miasta urodzin poety. Szukam śladów z rodzinnych opowieści o ulicy – wręcz bibliotece, być może stąd moja miłość do książek.

Nieparzyste numery zamyka jedenastka, natomiast parzyste kończy numer trzydzieści osiem. Przy numerach parzystych, na rogu placu Halickiego, w dwupiętrowej kamieniczce pod dwójką, z fasadą zdobioną rzeźbą dziecka w opiekuńczych skrzydłach

aniola stróża, mieściła się księgarnia, antykwariat, wypożyczalnia książek, a nawet wydawnictwo Stanisława Malinowskiego, zięcia znanego bukinisty Stanisława Koehlera. Dzisiaj zajął to miejsce sklepik reklamujący kosmiczne szybkości internetu. Obok, pod czwórką i szóstką, stały kamieniczki niepozorne, ale w nich zaszczytali miłość do czytania zacni Rubinowie i Iglowie. Notabene starszy brat Zygmunt Igel urzędował na Batorego 34 i tam wydawał swój „Kwartalnik Antykwarski”. Był to katalog tego, co posiadał w przepastnych regałach, ukrywających w swoich zakamarkach księgozbiory niebywałe. Kamieniczki zburzono, aby mógł stanąć w tym miejscu, pod szóstką, dom zbudowany w latach 1912–1914, jakby oksydowany, wysoki i przyciężki, wczesną moderną i neogotykiem dotknięty. Z fasadą ozdobioną parami rycerzy dłuta Stanisława Plichala podpierającymi wykusze górnych pięter, a nad trójarkadowym portykiem trzymającymi straż herbowymi lwami miasta.

W marmurowych salach mieściła się kawiarnia Ziemiańska słynąca ze świetnej kawy i łaskoczących podniebienie łakoci. Po bankructwie, w 1930 r., w kamienicy rozpoczęła działalność lwowska rozgłośnia, z grupą niesamowitych radiowców. Bo nie gdzie indziej, ale właśnie tutaj zatętniło w 1935 roku serce Wesolej Lwowskiej Fali. Tutaj wyśpiewano wiele przebojów, chociażby słynne *Capri* chóru Eryana prowadzonego przez kompozytora i pianistę (pseudonim Eryan), łatwo więc zgadnąć, skąd nazwa chóru lwowskiego belfra geografii Jana Ernsta, po



Fot. 1. Ulica Batorego (z kolekcji Janusza Wasylkowskiego)



Fot. 2. III Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego we Lwowie. Fot. Franciszek Haber

latach profesora Uniwersytetu Lubelskiego. Wesołą Lwowską Falę wyczarował Wiktor Budzyński, a magii dodawały nazwiska, że palce lizać, bohaterowie dialogów Tońka i Szczepka (Henryk Vogelfänger i Kazimierz Wajda), mistrzowie skeczy Aprikosenkrantz i Untenbaum (Monderer i Fleischer), radca Strońcio (Wilhelm Korabiowski), rozśpiewane Włada Majewska i Ewa Stojowska, a spikerkę prowadzili m.in.: Czesław Halski, Celina Nahlík i Jerzy Tępa.

Kiedys ulicą Batorego jeździł tramwaj, zwany po lwowsku „trambalem” lub „balonem” (fot. 1). Ulica zmieniła nazwę kolejny raz podczas wojny, w 1944 r., na Watutina, a od 1991 roku na Kniazia Romana. Mówiło się o niej, że była ulicą sądów i antykwariatów. Numery nieparzyste rozpoczynały budynki sądowe wiedeńskiego neorenesansu. Pod jedyneką Sąd Apelacyjny, w czasach austriackich Pałac Sprawiedliwości, pod trójką Sąd Okręgowy i oficyna klasztoru Karmelitów Trzewickzowych, zamieniona przez Austriaków na areszt zwany karmelickim. Więziono w nim lwowskich powstańców Wiosny Ludów, a w 1941 roku Sowietci w pokazowym procesie sędzieli tutaj członków żydowskiej organizacji podziemnej Haszomer Hacair, pomagającej Żydom w nielegalnej emigracji do Palestyny. W kościele karmelitów 24 października 1630 roku zawarto unię między kościołami rzymskim i ormiańskim, na mocy której powstało arcybiskupstwo ormiańskie we Lwowie, z prawem odprawiania nabożeństw w starożytnym języku liturgii gra-

bar. Dzisiaj przechodząc ulicą Mikołowską w Gliwicach mijam kościółek ormiański pod wezwaniem Świętej Trójcy, jedyny własny kościół Ormian w Polsce. Na trójkątnym frontonie Sądu Okręgowego, dźwiganym przez przyścienne kolumny, Leonard Marconi wyrzeźbił piękną kompozycję Sprawiedliwość z posągiem Temidy. Westybul gmachu ozdabiają alabastrowe lwy dłuta Antoniego Popiela, tego od kolumny wieszacza Adama Mickiewicza na placu Mariackim.

Po sąsiedzku, pod piątką, na miejscu kościoła Karmelitów pod wezwaniem św. Leonarda, stanął budynek gimnazjum im. Franciszka Józefa, przemianowany na III Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego (dziś wydział Politechniki Lwowskiej), zbudowany z kasy miasta wg projektu Hochbergera w 1876 roku, który pozostał na zawsze we Lwowie w kwaterze 86 Cmentarza Łyczakowskiego. Fasadę budynku, między oknami drugiego piętra, upiększają posągi Tadeusza Czackiego, Jana Długosza, Mikołaja Kopernika, Adama Mickiewicza, Józefa Maksymiliana Ossolińskiego i Jędrzeja Śniadeckiego, dłuta lwowskiego rzeźbiarza Tadeusza Barączca (fot. 2), twórcy pomnika Jana III Sobieskiego z Wałów Hetmańskich, który na całe szczęście niewzruszenie dzisiaj stoi na jednym z historycznych targów Gdańska, a właściwie na rondzie u zbiegu kilku ulic, na miejscu dawnego Targu Drzewnego.

W słynnym liceum, nazwanym przez uczniów potocznie *batarówką*, uczyli się zasłużeni dla polskiej historii: Adam Hanuszkiewicz, Karol Irzykowski, Eugeniusz Kwiatkowski, Władysław Sikorski, Stanisław Skrowaczewski, Władysław Witwicki, żeby tylko wymienić kilka nazwisk. Nie mówiąc o nauczycielach uniwersyteckich. Wspomnę tutaj tylko jednego, matematyka dr. Juliusza Pawła Schaudera, docenta Uniwersytetu Jana Kazimierza, ucznia Hugona Steinhausa i przyjaciela Stefana Banacha, uczestnika burzliwych konwentykli matematycznego kosmosu w kawiarni Szcockiej, zastrzelonego przez okupanta w 1943 roku.

Na rogu Batorego i Kubali (Ludwik Kubala 1838–1913, genialny historyk lwowski, który z całą pewnością zainspirował Sienkiewicza do pisania powieści historycznych, a z całą pewnością *Trylogii*) mieściła się kwaciarnia Maksymiliana Kmicińskiego oraz

sklep fabryczny Zygfryda Krebsa z napojami alkoholowymi, gdzie mama kupowała super spirytus bongu (*bon gout*), (fot. 3), produkowany przez Krebsa bądź Baczewskiego, tego od fabryki wódek i likierów pod znanym adresem w dzielnicy Zniesienie na Żółkiewskiej 100; a tenże spirytus, oczywiście w niewielkiej ilości, był nieodzownym składnikiem piszingera. Dla niewiedzących: piszinger to czekoladowo-orzechowy torcik z wafli, wymyślony przez wiedeńskiego cukiernika Oscara Pischingera, który można błyskawicznie zrobić na wypadek niespodziewanych gości. Była tutaj także knajpa Pod Rakiem, wszak po niemiecku Krebs znaczy Rak. Tłumnie ten przybytek napojów wysokokowych odwiedzał lwowski świątek artystyczny.

Następny budynek, pod numerem dziwiątym, budowano już w późniejszych czasach, mieszkał tutaj znajomy doktor ginekolog położnik, opiekujący się po wyjściu ze szpitala pisarką Ewą Szelburg-Zarembiną, która uciekając z płonącej Warszawy poroniła w podróży i chwilowo mieszkała w naszej kamienicy na drugim piętrze, a mama miała ją pod opieką. Na pamiątkę otrzymała od niej własnoręcznie zrobioną makatę i siatkowe zabezpieczenie na łóżeczko mojego starszego brata Józefa, ażeby z niego za szybko nie pomaszzerował w wielki świat ekonomii i banków.

W czasie wojny mieściła się w naszej kamienicy darmowa kuchnia Polskiego Komitetu Opiekuńczego, w której mama z naszą ciotką grały pierwsze role, a stołowali się ludzie różnych profesji, między innymi naukowcy Stanisławowie Fryze i Ochędusko, współtwórcy Politechniki Śląskiej w Gliwicach, których przyjaźń z naszą rodziną trwała niezachwianie do ostatnich dni. Idąc od strony radia (dzisiaj urzędują tutaj radiowcy ukraińscy) w kierunku naszej chawiry, mijamy pierwszą wążiutką przecznicę z prawej, kiedyś Świętego Szymona, którą można dojść do ulicy Akademickiej, dzisiaj Prospekt Szewczenki, gdzie często dreptałem z rodzicami topolowym deptakiem aż do kawiarni Szkockiej.

W domu pod szóstym mieściła się księgarnia i antykwarnia Mól Książkowy rodziny Rubinów. Właściciele wydawali broszurę informacyjną o swoich księgozbiorach. Batorego to absolutny ewenement, jeśli chodzi

o lwowskich bukinistów. Właściwie w każdej kamienicy z numerami parzystymi mieściły się małe świątynie książek – antykwariaty, księgarnie, wypożyczalnie książek, sklepy z nutami, czasem w jednej kamienicy po sąsiedzku było ich kilka. Batorego można z powodzeniem nazwać największą ulicą bibliofilii na Kresach.

Od kamienicy numer 12–14, zbudowanej w latach 1900–1901 w stylu neobarokowym z elementami secesji, zdobnej obramieniami okien, pilastrami o kunsztownych głowicach oraz puttami w girlandach nad balkonem drugiego piętra, gdzie przyjmował gości hotel Austria, aż do domu numer 20, urzędowała rodzina Bodeków. Tutaj był antykwariat Maksymiliana Bodeka, na zawsze uwieczniony w wierszu Zbigniewa Herberta *Moje miasto*. Była też Księgarnia Nauczycielska (1914–1928) prowadzona przez Stanisława Rogalę Lewickiego. Pod szesnastką, obok Zygmunta Bodeka, był skład nut Pawła Brandlera, pod osiemnastką Józef Bodek, a pod dwudziestką urzędował w latach 1905–1928 Samuel Bodek oraz przyjmował gości hotel Saski. Dzisiaj tu zaprasza w swoje podwoje czterogwiazdkowy hotel Szwajcarski. A tak pisze o ulicy Batorego Zbigniew Herbert w wierszu *Moje miasto* (ze zbioru *Hermes, pies i gwiazda*):

... po lewej sklep Paszandy
trzęcie gimnazjum księgarnię
widać nawet przez szybę
głową starego Bodeka...

W kamienicy numer 24, ozdobionej empirowymi płaskorzeźbami w kamieniu wykonanymi przez spolonizowanego austriackiego rzeźbiarza Jana Schimsera, którego wiele

**FABRYKA POLSKICH WÓDEK, RUMÓW,
ROSOLISÓW I LIKIERÓW**

ZYGFRYDA KREBSA

LWÓW — KLEPARÓW.

Fabryczny skąd ulica Batorego 1. 7. Filia: Łyczaków 1. 3.

odszczególniona dyplomem honorowym na światowej wystawie paryskiej w r. 1900 i na innych wystawach zagranicznych, jakoteż atestami najwybitniejszych profesorów, poleca

97% CZYSTY BON GOUT NA NALEWKI

oraz czyste destylaty, nalewki owocowe i z doborowych ziół. Na prowincję wysyłam także w 5 kg. paczkach pocztowych lub blaszankach.

Ostrzeżenie: się również, że «Stary szlachetny» i «Szlachetny» jedynie z marką ochronną obok znajdującej się, są prawdziwe, każde zaś inne są fałszowane.



rzeźb ozdabia Cmentarz Łyczakowski, mieścił się antykwariat naukowy Iglów. Wielu znanych przedstawicieli świata nauki i sztuki oraz literatów utrzymywało stały kontakt z tym antykwariatem. Aż do czasów wojny mieściła się również pod tym numerem Księgarnia Literacka.

Kamienica pod 26, z fasadą zdobioną rzeźbami postaci mitologicznych i fantastycznych stworów, gościła wymienionych już antykwariuszy Rubinów oraz Józefa Tuleję, inżyniera chemika (gorzelnika), którego Antykwariat Naukowy był jednym z bardziej znanych. Tuleja miał doświadczenie księgarskie i prowadził antykwariat według uznanych standardów zachodnich, katalogował księgozbiory i wydawał różne periodyki propagujące książkę. Także tutaj zapraszała w swoje podwoje Małopolska Księgarnia Ernesta Fleckera oraz księgarnia Rudolfa Schweizera, a w latach 1932–1937 Księgarnia Pedagogiczna spółki Henryka Łopieńskiego i Romualda Spinetera. Dzisiaj jest lombard, sklepik centrum Apple'a i bi-stro Intryga.

Pod 28 działała najstarsza księgarnia – z XIX w. – założona przez Stanisława Koehlera, która zajmowała się głównie skupem i sprzedażą podręczników szkolnych oraz posiadała duży asortyment nut. Sklep prowadził także wypożyczalnię. Cieszyła się ona wielką popularnością wśród młodzieży szkolnej. Pod numerem 30 swoją księgarnię i antykwariat prowadził Wilhelm Leon Klapper. W okresie II RP była tutaj Księgarnia Tow. Szkoły Ludowej.

Pomiędzy kamienicami o numerach 30 i 32 biegła uliczka Wiktora Bourlarda, lwowskiego filantropa, fundatora przytułku dla biednych, zmieniająca po drodze nazwę na Krzywą. Pod nią płynęła Młynówka, odnoga rzeki Pełtwi. Na końcu łączyła się z ulicą Świętego Szymona. Patrząc z Batorego w Bourlarda widać fasadę dawnej Akademii Handlu Zagranicznego, dzisiaj Lwowskiej Narodowej Akademii Muzycznej im. Mykoły Łysenki. Obok – pod trójką – mieściła się Drukarnia Centralna we Lwowie.

W wielkiej kamienicy numer 32 zbudowanej w stylu modernistycznym, na rogu Batorego i Bourlarda, dziś Ostapa Nyżankiwskiego, był sklep z książkami Koehlera oraz Jakuba Hölzla. To jego Księgarnia Powszechna wydawała uznany katalog „Anty-

kwariat Polski”. Tutaj na trzecim piętrze miała swe studio fotograficzne Janina Mierzecka, pospółu z Henrykiem Mikolaschem, znani lwowscy fotograficy. U pani Janiny mama robiła swoje artystyczne zdjęcia. Po wojnie Janina Mierzecka (1896–1987) wydała książkę biograficzną *Cafe życie z fotografią*.

Nieopodal ulicy Fredry, zapadającej w topolowe corso Akademickiej przy kawiarniach Roma i Szkocka, w secesyjnej kamienicy numer 34, w latach 1907–1939 królował guru bukinistów Zygmunt Igel. Był znawcą księgozbiorów i jednym z najwybitniejszych antykwariuszy Lwowa. Także Maksymilian Bodek człowiek wykształcony, znający kilka języków, cieszył się wielkim poważaniem w światku lwowskich bukinistów. On również prowadził księgarnię do wojny. Kamienica ta została postawiona na miejscu chylącego się domu, w którym mieszkał i zmarł w 1876 roku poeta Seweryn Goszczyński. Na ścianie obecnego domu fakt ten upamiętnia brązowa plakietka z wyrzeźbioną głową poety znajdująca się przy wejściu na klatkę schodową ozdobioną wspaniałymi oknami witrażowymi i supraportami. Był tutaj pensjonat Polonia. Antykwariat Iglów należał do najstarszych, założony przez Dawida Iglów, działał przez 144 lata, a Mieczysław Opatkiewicz napisał o rodzimym Iglów monografię *Sto trzydzieści lat wśród książek. Lwowskie antykwarye Iglów 1795–1928* (Lwów 1928). Współpracowali oni z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich i dostarczali słynnej instytucji rzadkie i wielokrotnie bezcenne rękopisy, ryciny, druki oraz inne cymelia. Jeden z synów, Dawid, wraz z ojcem zginęli w obozie janowskim w 1944 roku, natomiast drugi syn – Henryk – przeżył wojnę w Warszawie jako K. Wiśniewski i założył w Łodzi (1945) Księgarnię Naukową z działem antykwarycznym. W 1949 roku został zmuszony do wyjazdu do Izraela, gdzie zmarł w 1956 roku. Julian Tuwim napisał wtedy o nim, że był ostatnim potomkiem rodu *wychowanego w aromacie i w szeleście żółtych pagin*, który po *dziadach i pradziadach odziedziczył miłość do drukowanej starzyny*; i tutaj dodam, że z pewnością także do ulicy Batorego. Dzisiaj, żeby tradycji stało się zadość, przynajmniej w minimalnym zakresie, w tym domu także znajduje się księgarnia.

Po sąsiedzku, niemal naprzeciwko naszego pomieszczenia, w domu pod 38, urzę-

dował Związek Pań Domu. Mieszkał tam również profesor stomatolog Antoni Cieszyński, kierownik Katedry Dentystyki na Uniwersytecie Jana Kazimierza, obrońca Lwowa z 1918 roku, który w noc lipcową 1941 roku został zabrany z domu, wywieziony na Wzgórza Wuleckie i tam zamordowany. Żona Cieszyńskiego cudem uratowała syna, był już po maturze, podając że jest niepełnoletni. Zbiorowy mord na polskich profesorach przeprowadziło Einsatzkommando zur besonderen Verwendung, które było specjalną jednostką policyjną Sicherheitsdienst – policji bezpieczeństwa III Rzeszy. Listę profesorów przygotowała prawdopodobnie grupa studentów ukraińskich z Krakowa związana z OUN. Dzisiaj w tym domu mieści się Muzeum Meteorologii.

We Lwowie nie brakowało antykwariatów. Istniały na wielu ulicach, co podkreślało duże zainteresowanie mieszkańców miasta i okolic książką. Tamten świat wielkich antykwariuszy, Bodeków, Grundów, Hölzów, Iglów, Menkesów czy Rubinów, dzisiaj już nie istnieje. Przeszłość mogłaby zacytować jeszcze wiele nazwisk związanych z profesją księgarza w tym magicznym mieście. Ulica Batorego, wielka witryna antykwariatów i księgarń, w których uczniowie i studenci zopatrzywali się w podręczniki i lektury szkolne, rozwijali wrażliwość na słowo pisane, a także poszukiwacze tzw. białych kruków, gdzie, nieraz bibliofilski rarytas trafiał do kolekcjonerskich zbiorów wprost z przytułku książki na Batorego. Andrzej Skrzypczak w swoim pięknym esejie *Z dziejów księgarstwa lwowskiego – Ulica Batorego*, zamieszczonym w *Roczniku Lwowskim 1992*, s.131–148, zawarł niemal całą historię nieprawdopodobnego świata antykwariatów ulicy Batorego we Lwowie. Tamten kosmos, niezwykle nabożeństwo w obcowaniu z księgozbiorem, pozostał we mnie i jest w moim mieszkaniu na wyciągnięcie ręki. Świat słyszalny w domowych opowieściach czy wyczytany w wielu lwowskich wspominkowych książkach wciąż powraca i niepokoi w przedziwny sposób, gdy piszę wiersze kresowe czy chodzę ulicami dzisiejszego Lwowa.

Wojna i rok 1942 oznaczają moją mandagę narodzin w królewskim mieście i zesłanie po wojnie do śląskiego miasta Gliwice. Tamten czas zatruty ludzką nikczemnością i wojennym odium niejednego uczynił du-

Franciszek Haber

Idąc ulicą Batorego

Dotknąć jak wyspę na mapie
to jakbyś dotknął dachów
lecących z tobą wokół globu
skąd taka chwila w myślach
ogromniejąca w miasto
podstarzałe wieże katedr

na szynach rozdzwonione
echa Zielonej Piekarskiej
w akompaniamencie bałaku
tremolo zapóźnionej dorożki
wciąż te same ptaki

więc idziesz krawężnikiem
wyświechtanej historii
szukając antykwariatów
nienapisanych książek
śmiercią sygnowanych
zagubionych bibliotek
z archiwami ognia
stemplami wojny

aż do fasady domu
tu okna wciąż mają
markizy z błękitu
obłoków lambrekiny
i rdzawe ślady czasu
dzwoniącego rynną

wiesz jaka to ulica
z linią papilarną
rodowodu

wywróżona snami
przeznaczona żalom
kataklizmom
bez nazwy

jak starożytna amfora
wracająca czerepem
do ziemi gniazda

wiersz ze zbioru
„Kresowy Raptularz” 2019



Fot 4. Franciszek Haber (2004), nasza „chawira”, jeszcze naróże bez schodów prowadzących do sklepu (obecnie z tkaninami). Naróżne okno na parterze to jeden z naszych pokoi, gdzie „urzędowaliśmy” w łóżeckach. I do dzisiaj pamiętam deszcz bębniący na parapecie i „trambaj” nr 9, zgrzytający na zakręcie, jadący w górę na plac Bernardyński

chowym banitą na całe życie. Dom na rogu Piłsudskiego, dom pod 11 (fot. 4). Jeszcze kilka lat temu były na jego ścianie z prawej strony bramy wjazdowej cyfry kute w brązie, znikły w ostatnich latach. Dzisiaj w zamian – uboga blaszka. Fasada pokryta czyrakami czasu, boniowania z namacalnym śladem secesyjnej fasady wciąż opierają się destrukcji zapomnienia. Bronią się przed upadkiem zdobienia muszlowe nad oknami drugiego piętra, kasety nad- i podokienne z festonami i kartuszem na pierwszym piętrze. Pod okapem gutty i zdobienia belkowań wciąż widoczne.

Na narożu ktoś „dolepił” schody i koszmarną budę na secesyjnym balkonie, nie zważając na architektoniczny porządek. Teraz tamtędy wchodzi się do sklepu z tkaninami, do dawnego naszego pięknego pomieszczenia po lwowsku chawirą zwanym. Także po obu stronach bramy wjazdowej wybito w murach wejścia do butików psując tym samym całość założenia budowli. Na drugim piętrze, jak głosi reklama firmy Arkadija, znajduje się pod numerem 15 apartament hotelowy do wynajęcia (dwie sypialnie, dwie łazienki i kuchnia z pełnym wyposażeniem) z oknami wychodzącymi na ulicę Piłsudskiego (Iwana Franki). Jak słyhać, turyści narzekają na tramwajowy hałas i kłatkę schodową.

Naprzeciwno wejścia do posesji pod 11 jest skwerek z barkiem pod parasola-

mi Schronik. Kiedyś pod nim był cmentarz, skąd ekshumowano około 200 tureckich pochówków w czasie modernizacji ulicy. Szalety nieczynne wrastają w trawę, a życie tętni w arteriach miasta jak dawniej i bruki wciąż mocne i trwałe w swojej zwartości bazaltowej. Moja ulica otwiera się jak stara księga w obwolucie z inną nazwą, poszarpana wiekiem zniewolenia i obojętności na wartości, które nigdy nie przeminą dokąd pamięć w nas. Do dzisiaj trwają secesyjne kute poręcze na wielu balkonach i podkreślają artyzm przynależny temu miastu. A płaskorzeźby na podstarzałych murach wciąż przypominają, że architektoniczny detal był bezcennym kruszcem podkreślającym urodę lwowskich zaułków i ulic.

Skręcam w ulicę Fredry i wiem na pewno, że na rogu Akademickiej stoi piękna kawiarnia Szkocka i jej ściany bogate w ryciny polskiej szkoły matematycznej, a gdy idę stroną parzystą Batorego w kierunku „radia” pod szóstką, mijam dom nr 32, gdzie wciąż snują się w eterze spalin ślady stóp mojej matki, chociaż fotki zrobione u Janiny Mierzeckiej przepadły w ogniu wojny. Także strych naszego domu ma wciąż wojenne sekrety zamaskowane w swoich zakamarkach. Znękana wiekiem brama wjazdowa i balkony podwórza wciąż czekają na poranną jaskółkę święta wiosny. Chociaż czas przechera wciąż liczy srebrniki, a ja, mimo wszystko, mam tutaj swój nienaruszalny kamień poczęcia.

PS

Współwłaścicielem kamienicy Batorego pod 11 był aptekarz Józef Pineles, który miał swoją aptekę na Rynku pod numerem 18, z numerem telefonu 17 86, zapisanym w przedwojennym notatniku naszego domu.

Michał Kroch miał na Batorego 11 Przedsiębiorstwo Budowlane.

Także w *URANJI* – czasopiśmie Polskiego Tow. Przyjaciół Astronomii, które miało oddziały warszawski, częstochowski i lwowski, potem jeszcze oddział poznański, można znaleźć informację, że prezesem lwowskiego oddziału przez jakiś czas był. gen. A. Jasiński z adresem Batorego 11.

Prezentujemy fragment wspomnień Mariana Rosco Bogdanowicza (ur. w 1862 roku), którego życie było niezwykle barwne. Szlachcic o ormiańskich korzeniach, prowadził bujne życie towarzyskie. Był salonowym bywalcem, doskonałym tancerzem, duszą towarzystwa, ciekawym i pewnie ciekawskim, a nade wszystko wścibskim – co ukazują doskonale jego wspomnienia. Nastawiony był na karierę, dzięki zabiegom i znajomością z namiestnikiem Galicji Kazimierzem Badenim został szambelanem cesarskim, co pozwoliło mu na podbój arystokratycznego Wiednia. W 1902 roku wyjechał do Paryża i Londynu, gdzie spędził okres I wojny światowej. Do Polski wrócił w 1919 roku. Jego archiwum spłonęło w 1944 roku w Warszawie podczas powstania warszawskiego. Jego wspomnienia przygotowane do druku w krakowskiej Drukarni Narodowej zostały zniszczone. Zachował się tylko egzemplarz korektorski, który – uzupełniony przez autora – po II wojnie światowej został opublikowany przez krakowskie Wydawnictwo Literackie. Zmarł w Krakowie 24 marca 1955 roku w Domu Opieki u Helców w wieku 93 lat.

Janusz M. Paluch

Marian Rosco Bogdanowicz

Ach te lwowskie bale...

(fragment)

Właściwie powinien bym zacząć (...) od: „Onego czasu panowała nam z Bożej łaski pani Alfredowa!”.

I byłoby to zupełnie właściwe! Panowanie jej było absolutne, niepodzielne, uznane i wdzięcznie przyjęte.

Córka Romana Sanguszki, „niezlomnego księcia”, i wcześniej ją odumartej Natalii z Potockich z Wilanowa, wychowywana podczas długich lat „Sybiru” ks. Romana przez bab-

kę-księżnę Sanguszkową z Czartoryskich w rodowej Sławucie; obok pani Augustowej Potockiej największa swego czasu *heritiera* nie tylko w Polsce, ale ponoć i w Europie, wyszła za hr. Alfreda Potockiego, ordynata na Łańcucie. Bardzo piękni oboje i ślady tej urody do końca życia zachowujący w niezwykłej dostojności postaci, predestynowani niejako nazwiskiem, urodzeniem, fortuną do zajmowania w świecie przodującego stanowiska, stanowisko to nie tylko utrzymali, ale tak przywileje tegoż, jak i obowiązki pojmowali i w wielkim stylu spełnili.

Nawet w tak trudnym *milieu*, jakim zawsze było towarzystwo otaczające dwór wiedeński, gdzie wszystkie mediatoryczne księżne i hrabiny dumnie broniły swych praw i przywilejów, pani Alfredowa, jako żona premiera podczas prezydentury pana Alfreda w Radzie Ministrów, potrafiła zająć u dworu, jak i w towarzystwie, zupełnie wyjątkowe stanowisko.

Pan Alfred przez swoje obie siostry – księżnę Julię Liechtenstein i księżnę Zofię Dietrichstein – był blisko z tym towarzystwem spowinowacony. Wiedzano przy tym, że był – oprócz hr. Taaffego, towarzysza lat dziecinnych – jedynym, któremu cesarz Franciszek Józef mówił „ty” (wyjąwszy naturalnie członków rodziny lub obcych panujących). Z młodości pana Alfreda pragnę tu przypomnieć charakterystyczną, mało może



Marian Rosco Bogdanowicz (1862–1955)



Maria Klementyna Potocka
(1830–1903)

znaną anegdotę, którą raz w Antoninach opowiadała mi pani Alfredowa.

Jako dwudziesto-kilkoletni młodzieniec bawił w charakterze attaché ambasady austriackiej w Londynie, gdzie wówczas pędził trochę awanturnicze życie nieuznanego i pozbawionego środków majątkowych pretendenta, ks. Napoleon. Jeden z jego przyjaciół powiedział panu Alfredowi, że ks. Napoleon życzy sobie go poznać, od czego

p. Alfred się wymówił, mówiąc, że żałuje, iż jego stanowisko urzędowe każe mu raczej odmówić sobie tej znajomości.

W kilkanaście lat potem pp. Alfredowie jechali z ambasadorem księciem Ryszardem Metternichem i sławną księżną Pauliną na bal do Tuileries, gdzie mieli być prezentowani stojącemu u szczytu swego powodzenia cesarzowi i pięknej Eugenii. Cesarz powitał pana Alfreda najmiłym uśmiechem, ale i powiedzeniem: – Je suis bien content que ma position actuelle vous permet de faire ma connaissance¹.

Pani Alfredowa kończyła opowiadanie: – W tej samej chwili ja robiąc mój głęboki *plongeon* przed cesarzową myślałam, że się nigdy nie podniosę.

Po śmierci hr. Agenora Gołuchowskiego, ulegając życzeniu cesarza, przyjął pan Alfred stanowisko namiestnika Galicji i zamieszkał w pałacu namiestnikowskim we Lwowie z żoną, synami Romanem i Józefem i córką, przecudnej urody panną Klimą (Klementyną). Druga córka, pani Julia, była już wówczas zamężna za hr. Władysławem Branickim.

Zjawienie się na terenie towarzystwa lwowskiego olśniewającej hrabianki Klimy poprzedziła fama wielkiej miłości arcyksięcia Rudolfa, który dla poślubienia jej chciał się

wyrzec tronu. Ze względów dynastycznych i sankcji pragmatycznej – która ściśle określała prawa następstwa, tylko bowiem syn zrodzony z małżeństwa tak zwanego *ebenbürtig*², tj. zawartego z osobą rodu panującego, miał prawo następstwa tronu – upór arcyksięcia był dla dynastii groźny. Opowiedano sobie, że wobec postanowienia jedyne go syna, którego nie mógł od tego zamiaru odwieść, cesarz przyjechał do p. Alfreda i odwołując się do jego przyjaźni, przedstawiając skutki, które z tego dla dynastii wyniknąć mogły, uzyskał to, że panna Klima niedługo potem wydana została za hr. Jana Tyszkiewicza, spadkobiercę ordynacji birżańskiej. Zamiarom arcyksięcia postawiona została tym samym przeszkoda nie do usunięcia.

(...)

Święta [roku 1883] spędziliśmy wesoło i miło, jak zawsze, z ukochanym Kotowem, który w komplecie do nas zjechał. Obszerny i wygodny pałacyk Młockich, który zamieszkivaliśmy, pozwalał wszystkich rozlokować, a położony, jak już wspomniałem, w dość dużym parku, z dala od gwaru i ruchu miejskiego, nadawał zawsze tym świętom cechę wiejską. Był niejako przypomnieniem rodzinnych zjazdów czahrowskich. Ciotka Czermińska i Kanunia zostawały na całą zimę. Święta te były dla nas początkiem karnawału. Były tym nie tylko *de nomine*, albowiem trzeciego dnia świąt odbywał się tradycyjny wielki bal u pp. Hipolitów Czaykowskich w Bóbrce. Dom pp. Czaykowskich, przy wielkiej tak ich obojga, jak i ich synów – Henryka i Włodzimierza – gościnności, był niezmiernie sympatyczny. Wielki rozum i wykształcenie pani domu, jej przedziwny dar konwersacyjny był tego domu wielką zawsze atrakcją, a coroczny bal świąteczny, który gromadził nie tylko bliższe i dalsze sąsiedztwo ale i wiele osób z pobliskiego Lwowa był zawsze upragnionym ewenementem towarzyskim. Dla mnie był ten dom tym miłszym, że „pani Mińca” – jak ogólnie nazywano panią Czaykowską – była siostrą kochanego Klemensa Torosiewicza. Tańce prowadził zawsze z ogromną werwą Kazimierz Rudnicki ze Strzałek, a jego piękne siostry (pani Małachowska i śliczna „Klima”, późniejsza druga ordynatowa Czarkowska), jak też bardzo piękne panny Zarembianki

¹ Jestem bardzo zadowolony, że obecne moje stanowisko pozwala panu na zawarcie ze mną znajomości.

² równy urodzeniem

i wiele innych, były doskonałymi i zawsze otoczonymi danserkami. Obok balów czernickich były bale bobreckie najczęściej ożywionymi zabawami wiejskimi.

Siostra moja i Kanunia Czermińska razem bywały. Popołudniowe wtorki mojej matki, które od świąt się zaczynały, zawsze były ożywione. Między świątami a Nowym Rokiem robiło się wizyty, toteż licznie wtedy zjeżdżające na karnawał ziemiaństwo nie omieszkowało od tych popołudniowych wtorków zaczynać sezonu. Wieczory wtorkowe zgromadziły uprzywilejowaną elitę towarzystwa w górnych salonach Namiestnictwa, gdzie jeszcze panowała pani Alfredowa. Wszyscy miejscowi i przyjezdni dążyli z pokłonem między dwunastą a pierwszą, całe więc rzędy ekwipaży stały w tym czasie przed Namiestnictwem. Doświadczone oko mogło prawie odgadnąć, którzy z wychodzących usłyszeli upragnione sakramentalne: *Przyjmuję we wtorek, bardzo proszę*, a którym tylko duży karton ze słowami:

C.K. Namiestnik
i Hrabina Maria Potocka
proszą...

miał kilka razy w ciągu zimy dostać się w udziale.

Sezon zaczynał jak zwykle sylwester u pani Alfredowej. Wieczory sylwestrowe nie były wówczas jeszcze tak u nas rozpowszechnione jak dzisiaj. W rodzinie nie oczekiwano dwunastej godziny, aby iść spać, a życzenia noworoczne składano sobie rano. Żadne więc względy rodzinne nie stały na przeszkodzie tłumnemu udawaniu się do pani Alfredowej, gdzie o godzinie dwunastej Senegalczyk przywieziony przez pana Józefa z polowań afrykańskich, wspaniały bogatym, wschodnim strojem, uderzał z zapalem w gong i zwiastował uroczysty moment.

Ileż tych niezapomnianych sylwestrów u pani Alfredowej spędziłem! Aż do chwili, gdy obowiązki dworskie kazały na ten dzień, wprost ze świąt spędzonych u moich rodziców we Lwowie, spieszyć do Wiednia, by być na oficjalnej *Cour du Nouve An*.

Karnawał w tym roku był nawet jak na wesoly zwykle Lwów wyjątkowo huczny. Oprócz rdzennego towarzystwa lwowskiego zjechały liczne i świetne domy zza kordonu, pp. Mieczysławów Juriewiczów, Ledóchow-skich, Jodków, Czosnowskich i kilka innych.

Pomiędzy tymi nowo przybyłymi na karnawał domami miło i sympatycznie rysuje się w pamięci mojej dom pp. Eliaszków Garapichów z Podola. Dzięki temu, że bratowa pani Garapichowej (Turkułówny z domu) – pani Helena z Trzczańskich Turkułowa – była serdeczną przyjaciółką mojej matki, stosunki zrazu tylko towarzyskie wnet przeszły w serdeczną zażyłość, a to tym bardziej, że ukochana ich jedynaczka, panna Pola, prędko bardzo przywiązała się do mojej siostry. Obca zrazu w towarzystwie lwowskim, młodzianka i nieśmiała, nie odstępowała jej na balach i prędko stały się nierozłącznymi.

Nie będąc ładną, miała wiele naturalnego i bardzo pociągającego wdzięku, a nieoczekiwane, często dowcipne zwroty jej konwersacji bardzo nas bawiły. Odwiedzała nas codziennie, a gdy pp. Eliaszowie wydali bal, znalazło się na nim całe, więcej *intime*, kółko salonu mojej matki.

Bale następowały jedne po drugich. Oprócz wielkich oficjalnych balów w Namiestnictwie, na których to, co się zwało *tout court* „towarzystwem”, wchodziło w kontakt z oficjalnymi sferami Lwowa, ekskluzywne wtorki pani Alfredowej gromadziły w prywatnych jej salonach kwiat tegoż towarzystwa, a piękne bale u hr. Pauliny Łosiowej, hr. Maurycowej Dzieduszyckiej (w jej starym jakżeż miłym pałacu na Zielonym), hr. Włodzimierzów Dzieduszyckich, hr. Marii Bolesławowej Borkowskiej i hr. Walerii Borkowskiej, pp. Juriewiczów, hr. Russockich, hr. Stanisławów Badenich, pani Skibniewskiej, pani Izabeli Krzeczunowiczowej, pp. Hipolitów Bochdanów, hr. Henryków Łączyńskich, pp. Marcelów Madejskich (gdzie rej wodziła ich wesola, miła i jakżeż sympatyczna





córka Zofia), pp. Wojciechów Jan-kowskich, Janów Wiktorów i coroczne dwa bale mojej matki, alternowały z piknikami urządzanymi przez panią Alfredową w nieegzystującej już dziś sali Froh-sinnu i z wielkimi publicznymi balami, których było zawsze kilka.

Bale te były specjalnością Lwowa. Bal Towarzystwa

Muzycznego, medyków, prawników, techników, kolejowy i księżnej Sapieżyny, bal na szpitalik św. Zofii, jako też kilka innych, których miana już zapomniałem, były w całym tego słowa znaczeniu wspaniałe. Odbываły się w pięknych salach Kasyna Miejskiego, a brały w nich udział sfery oficjalne, zamożny i sympatyczny patrycjat mieszczaństwa lwowskiego i sfery wojskowe, adwokackie i urzędnicze. „Towarzystwo” natomiast wysyłało tylko swoje najdostojniejsze damy w roli „patrones”, które zasiadały na estradzie, ale przychodziły bez córek. Uroczystym momentem było zawsze przybycie „protektorki” – oczywiście pani Alfredowej, która przyjęta na dole przez gospodarzy balu *in corpore*, wchodziła wśród szpaleru młodszych tego komitetu członków „wspaniała, ale najłaskawsza”, zajmowała tron-fotel na przodzie estrady, przyjmowała prezentację pań-patrones „z miasta” i uprzejmie prosiła o zaczęcie tańców. Sama myśl zaczęcia tychże przed jej przybyciem wydawała się wprost bluźnierstwem.

Adolf Abrahamowicz z niesłychaną maestrią i doświadczeniem prowadził tańce, a po zaprowadzeniu elektryczności pierwszy zastosował przy kotylionie kolorowe efekty świetlne, które rzeczywiście wyglądały bardzo pięknie. Plany swoje obmyślał dokładnie, jak wódz obmyślał pociągnięcia strategiczne. Dyrgowanie bowiem armią stu kilkudziesięciu, często niepojętnych, a czasem niesformnych par, nie należało bynajmniej do zadań łatwych, a pana Adolfa ambicją było na każdym balu nowe kombinacje mazurkowe i kotylionowe zaprodukować.

Adolf Abrahamowicz był na terenie bawiącego się Lwowa postacią niezmiernie popularną. Brat znanego i cenionego polityka i męża stanu Dawida Abrahamowicza, niepodzielający zupełnie tegoż poważnych prac i upodobań, Adolf był wesołym, dowcipnym *viveurem*, który tylko dwie rzeczy poważnie traktował: kotyliony prowadzone na publicznych balach i „farsy”, które z wielkim talentem i humorem pisał dla teatru lwowskiego w ciszy letnich pobytów w ślicznym swym majątku Targowica na Pokuciu. Sam Ormianin z ojca i matki, umiał jak nikt inny podchwytwać i z humorem opowiadać śmieszności i właściwości tego tak zastużonego i zacnego odłamu społeczeństwa galicyjskiego, które zwłaszcza na Pokuciu wiele ze swych wiekowych zwyczajów zachowało. Czynił to jednak z tak rozbijającym humorem, że nawet te obiekty, na których prawdziwą w tym kierunku wykonywał wiwisekcję, pierwsze się tym bawiły i bardzo rzadko się obrażały. Odpowiedzi miał zawsze nieoczekiwane a zabawne. Tej właśnie zimy opowiadano sobie o jego rozmowie z ks. marszałkową Leonową Sapieżyną.

Dostojna stara księżna, która zawsze tyle dobroczynnych imprez miała na głowie, ale której najwięcej ukochaną kreacją był szpitalik dla dzieci św. Zofii, niestrudzona w zbieraniu funduszków na te rozmaite przytulki, zakłady, szpitale, które tworzyła, zaprosiła p. Adolfa na naradę nad niektórymi szczegółami mającego się odbyć na cele tegoż szpitalika dorocznego balu. Zamiast jednak od razu przystąpić do rzeczy, długo i elegijnie ubolewała nad nieurodzajem w kraju!

– A u nas się urodziło, proszę księżnej pani – zdołał w końcu wtrącić trochę znacierpliwiony p. Adolf.

– Urodziło się, urodziło. I cóż się urodziło?

– Jabłka i słoneczniki, proszę księżnej pani.

Dostojna stara księżna oniemiała, białe jej loki-anglezy à la 1830 zadrgały, podczas gdy usta, nieświadomie może, siłą przyzwyczajenia wyrzuciły:

– Ach, jakżeż się cieszę!

Obecna przy tej konwersacji ciotka moja baronowa Waleria Heydlowa, adiutant ks. Leonowej od tych wszystkich imprez, nie mogła się powstrzymać od śmiechu, co dobra księżna, która zdołała już ochłonąć, jak i sam p. Adolf z równą wesołością przyjęli.

Te wielkie bale publiczne były prawie jedynym terenem, na którym spotykały się arystokracja i ziemiaństwo z lwowskimi sferami mieszczańskimi. A sfery te były interesujące, kulturalne i sympatyczne! Patrycjat lwowski miał wielkie tradycje. Wprawdzie wielkie rody mieszczańskie Bonerów, Boimów i inne tak mistrzowsko przez Władysława Łozińskiego w [dziele] o mieszczaństwie lwowskim opisane już nie egzystowały, ale natomiast wyrosły nowe, porozbiorowe, które tradycje te podtrzymać usiłowały i nie miały nigdy tych cech śmieszności i małostkowości, w jakie tak obfituje np. burżuazja francuska lub niemiecka. Dumne nawet często w poczuciu swej wartości, niezmiernie patriotyczne, i gotowe w tym kierunku do poświęceń i ofiar, nie szukały zbliżenia do tak zwanego „towarzystwa” kosztem własnej godności, jak to widzimy w innych społeczeństwach, co tak mistrzowsko uwiecznił Moliere w swoim *Le bourgeois gentilhomme* [Mieszczanin szlachcicem]. Gdy się jednak do nich zwrócono, odpowiadały chętnie i uprzejmie. A zwracano się do nich, szczególnie do ich ofiarnych kieszeni, często. Panie „z miasta” chętnie brały udział we wszystkich dobroczynnych komitetach, a ich mężowie szczerze je zasilali.

Nikt tych dodatnich cech burżuazji lwowskiej nie umiał tak ocenić jak pani Alfredowa, która często pozwalając sobie na nieuprzejmości w swej własnej sferze, zawsze odnosiła się z najwytworniejszą grzecznością do sfer mieszczańskich i przez te sfery bardzo lubianą i cenioną była. Przyjechawszy na zimę do Lwowa zawsze pierwsza u tych pań składała karty, żadnej też z nich nie brakło na prezydowanych przez nią komitetach, w których chętnie i wydatnie pracowały i zasobną swą kieszeń szeroko otwierały.

Urządzone przez panią Alfredową już wyżej wspomniane teatry amatorskie, żywe obrazy etc., zawsze były wyprzedane, czasem nawet powtarzane, pomimo wysokich cen biletów, i duże instytucjom dobroczynnym przynosiły dochody.

Niejako *en marge* salonów ziemiańskich był nad wszelki wyraz gościnny dom pani Rypsyny Zachariasiewiczowej. Zdaje mi się, że uchybiłbym obowiązkom kronikarza, gdybym nie opisał tego niezwykłego, a mającego zupełnie swoistą, nawet sympatyczną cechę salonu. Pani Rypsyna, ogólnie „ciocią Rypsią” zwana, była wdową od lat wielu

po panu Marcelim Zachariasiewiczzu. Bardzo zamożna, jak również niepowszednie brzydka, otoczona rojem siostrzenic, które wyposażała i za mąż wydawała, gołębiego serca i niestrudzonej uprzejmości, miała tak swoisty sposób wyrażania się, że przy trapiącym ją szeplenieniu zupełnie nieoczekiwane wywoływała efekty. Nie wymawiała połowy alfabetu, nie zdając sobie zresztą zupełnie z tego sprawy. Sam słyszałem jak pocieszała matkę, której córeczka w tym kierunku była upośledzona:

– Nie mawt się, nie mawt, ja jak bylam mała, tom tak siepleniala!

Znalazłem się w tym salonie zupełnie nieoczekiwanie. Adolf Abrahamowicz spotkał mię na kolacji w Europejskim. Widząc mię we fraku zapytał dokąd idę, a usłyszawszy odpowiedź, mówi:

– Ach, tam może pan i później pójść, a ja pana zaprowadzę na taki bal, jakiego pan w życiu nie widział.

I poszliśmy. Zaraz przy przywitaniu zaskoczyła mię niezwykle odpowiedzią na mój komplement, że bal ładny i ożywiony:

– Eh panie, co to telaz! Za nieboscyka Mawcelego to ja i publicznie bywalam, a telaz to juz tylko w domu dają.

W ogóle wspomnienia o „Mawcelim” zdawały się być niezmiernie żywe i drogie, jakkolwiek z opowiadań, jak również jej własnych, chętnych w tym kierunku choć dyskretnych wynurzeń wnioskować można było, że pan Marcelli swym najprymitywniejszym obowiązkiem męża odpowiedzieć nigdy nie zdołał, przy każdej bowiem do tego żalosnego zawodu aluzji nie omieszkiwała dodać:

– Mawcelemu tak żal było.

Przychodzili wszyscy, proszeni i nieproszeni. Zdarzało się, że wchodziło dwóch młodzieńców, z których jeden prezentował



drugiego i każdy usłyszał jednakową uprzejmą odpowiedź:

– Bawdzo dziękuję, ze pan taki laskaw.

Toteż dobór towarzystwa, szczególnie młodzieży męskiej, był czasem katastrofalny! Gdy często jakaś matka, widząc swą córkę walczącą w objęciach jakiegoś niesamowitego młodzieńca, z niepokojem pytała:

– Któż to taki? – usłyszała dobroduszną odpowiedź:

– At, nie wiem, psyprawdzili go.

– A któż go przyprowadził?

– Takżeś chciała, zebym ja jesce i to wiedziała.

Prezentowanie znakomitego chirurga dra Schramma brzmiało w ustach pani domu wprost katastrofalnie, było uciechą panów a oblewano szkarłatem panienki. Ale te drobne śmiesznotki, te powiedzenia, którym szczególnej barwy dodawał podniesiony do potęgi akcent lwowski, znikwały zupełnie wobec wprost niewyczerpanej dobroci, uprzejmości i zacności pani Rypsi.

Otoczona rojem uboższych krewnych, wyzyskiwana wprost bezwstydnie przez wszystkie protektorki i organizatorki dobroczynnych imprez – nie było wypadku, żeby odmówiła swej pomocy lub wsparcia. Jakkolwiek to wygląda na paradoks, była równocześnie i niemiłosiernie ośmieszana i bezwzględnie a najszczerzej szanowana. Nie znam drugiego wypadku, w którym ten ryzykowny paradoks mógłby znaleźć sprawliwsze zastosowanie.

Zacna, dobra pani Rypsia była jednym z najoryginalniejszych, ale i najdodatniejszych typów ówczesnej Lwowa epoki.

Odpowiednikiem stanowiska domu pani Zachariasiewiczowej w sferach ziemiańskich był w sferach burżuazji lwowskiej dom pana Kisielki. Ktokolwiek pokusi się o skreślenie obrazu życia ówczesnego Lwowa we wszystkich tegoż objawach, nie może przejść do porządku dziennego nad oryginalną, a pod pewnymi względami dodatnią jego postacią.

Typowy *selfmademan* pan Kisielka, bardzo zamożny właściciel słynnego browaru na Podzamczu, od skromnych zaczął początków. Bodajże czy nie tak samo jak jego amerykańskie sobowtóry od stanowiska pracownika browarowego lub czegoś podobnego. Początków tych swoich się nie wstydził. Z rubasznym, ale sympatycznym humorem o tych swoich skromnych początkach wspominał.

W czasach, o których piszę, był już wielokrotnym milionerem. Słynnym piwem jego zapijał się nie tylko Lwów, ale i cała wschodnia Galicja. Robił pieniądze skrętnie i z powodzeniem, ale też nigdy się nie uchylał od obowiązków, jakie to powodzenie na niego wkładało, i wszystkie imprezy dobroczynne hojnie były przez niego zasilane.

Pan Kisielka był szczęśliwym posiadaczem trzech sympatycznych, przystojnych, może trochę rozhułkanych córek i trzech mniej przystojnych, więcej za to rozhułkanych siostr, których bezpowrotnie a dawno miniona młodość gwałtownie teraz upominała się o swe prawa do życia i używania. O gościnności panującej w położonym przy browarze na Podzamczu pałacyku opowiadano wiele. Posagi trzech jego córek przedstawiały się ponętnie, a że panny były miłe i wesole, każde pojawienie się rodziny Kisielków na wielkich balach publicznych w Kasynie Miejskim było magnesem przyciągającym liczne rzesze złotej młodzieży ze sfer mieszczan-skich. Róg sali, w którym rodzina Kisielków się lokowała, był z reguły najwięcej obłożonym punktem każdej zabawy, tym bardziej że ciotce odznaczały się niespożytą energią w tańcu, a młodzież asystująca pannom musiała konkurować równocześnie i o ciotce, i wytrwale je obtańcowywać.

Trzy panny Kisielkówny doskonale wychodziły za mąż. Jedna za znanego i cenionego medyka dra Strojnowskiego, druga za bardzo przystojnego adwokata, później parlamentarzystę a w końcu ministra dla Galicji Dulębę, trzecia za majora sztabu Rudzińskiego.

Karnawał dobiegał końca. Nadszedł post ze zwykłym korowodem przyjęć i wieczorów, którym żałoba w Namiestnictwie wiele ujęła ze zwykłej świetności.

W połowie bowiem marca zgasła w Wiedniu, w powrocie swym z Meranu, młodzianka, uroczą hrabina Izabela Romanowa Potocka, w dwudziestym zaledwie roku życia. Śmierć ta, obok wrażenia ogólnego, jakie wywarło zgaśnięcie tego zaledwie się rozpoczynającego a tak świetnie zapowiadającego życia, rzuciła cień na życie towarzyskie Lwowa.

Majowym *rally papers*, czerwcowym wyścigom brakło tej, której inicjatywa tyle im dodawała ożywienia i świetności. Pani Alfredowa pozostała w Łańcucie. Zabrakło jej magistralnej ręki.

Rozmowę z

Mariuszem Olbromskim

poetą i publicystą, organizatorem Międzynarodowych Spotkań Muzealników i Kulturoznawców Dialog Dwóch Kultur w Krzemieńcu, przeprowadziła Anna Gordijewska



Fot. archiwum Mariusza Olbromskiego

Czy mimo tego, że istnieje wiele kolęd, to tylko nieliczne z nich zapisały się w polskiej tradycji bożonarodzeniowej?

Narodziny Syna Bożego inspirowały wielu poetów, pisarzy, myślicieli od zarania naszej kultury chrześcijańskiej. Powstawały teksty kolęd. Dzisiaj wielu znawców podaje, że istnieje ich ponad 500. Autorzy tych najdawniejszych pozostali przeważnie nieznani. Tak rzadko wiemy, przez kogo był napisany tekst i muzyka. Pomimo dużej liczebności kolęd tylko nieliczne zapisały się w polskiej tradycji bożonarodzeniowej. Warto zatem przypomnieć, że twórcami, którzy są znani, dwóch najśłynniejszych kolęd staropolskich są ks. Piotr Skarga oraz poeta Franciszek

Karpiński. Obaj poprzez swe życie, twórczość i działalność byli związani z Kresami, szczególnie ze Lwowem.

No właśnie. Do najpopularniejszych polskich kolęd należy *W żłobie leży*. W jednych źródłach podawany jest autor bezimienny, a w drugich tekst przypisywany jest ks. Piotrowi Skardze.

Śpiewana powszechnie od czasów renesansu kolęda *W żłobie leży* przypisywana jest jednemu z najwybitniejszych w dziejach kultury chrześcijańskiej w Polsce pisarzowi, teologowi, żarliwemu kaznodziei, mistrzowi prozy retorycznej – Piotrowi Skardze. Pewnie nie bez przyczyny – właśnie jemu. Melodia kolędy nawiązuje do poloneza koronacyjnego króla Władysława IV.

Ks. Piotr Skarga był związany ze Lwowem. Jaka rolę odegrał Lwów w życiu tego wybitnego kaznodziei?

Urodzony w Grójcu pod Warszawą w 1536 roku, Skarga po ukończeniu szkół studiował filozofię w Akademii Krakowskiej. Później wyjechał do Wiednia, gdzie prawdopodobnie zetknął się po raz pierwszy z zakonem jezuitów. W 1565 roku powrócił do Polski i to we Lwowie został subdiakonem i kaznodzieją katedralnym, tu załśnił swymi talentami oratorskimi. Następnie objął probostwo w Rohatynie w dawnym województwie stanisławowskim. Z czasem wrócił do Lwowa, gdzie został mianowany kanonikiem i kanclerzem kapituły lwowskiej. Głosił kazania w katedrze lwowskiej. W mieście nad Pełtwią rozpoczął też swą wielką pracę na rzecz chorych i cierpiących. Skarga po siedmiu latach pracy we Lwowie wyjechał do Rzymu, gdzie wstąpił do zakonu jezuitów.

A we Lwowie pozostał po nim ślad w postaci tablicy w dawnym kościele Jezuitów...

Tak, w dawnym kościele jezuickim pod wezwaniem Piotra i Pawła, a dziś cerkwi garnizonowej, na jednym z filarów nad amboną o Piotrze Skardze przypomina pamiątkowa, piękna tablica, upamiętniająca trzechsetlecie jego śmierci. Przedstawiono go tam jako kaznodzieję głoszącego płomienne kazanie.

Jak potoczyły się dalsze losy Skargi?

Po powrocie z Rzymu do kraju Piotr Skarga wyładał w kolegium jezuickim w Puł-

tusku w pobliżu Warszawy. Potem został rektorem Akademii Wileńskiej. W Wilnie, na Litwie i Białorusi rozwinął również znakomitą działalność duszpasterską, zainicjował utworzenie kolegiów jezuickich w Rydze, Połocku i Dorpadzie. Był inicjatorem wielkiego wydarzenia religijno-politycznego, jakim była unia brzeska w 1596 roku. Następnie Skarga przeniósł się do Warszawy, gdzie został nadwornym kaznodzieją i spowiednikiem króla Zygmunta III Wazy. Brał udział w posiedzeniach sejmu Rzeczypospolitej, gdzie wielokrotnie zajaśniały jego talenty oratorskie. W swoich kazaniach krytykował anarchizację życia społecznego i wady społeczności szlacheckiej. Piętnował brak miłości ojczyzny, upadek obyczajów moralnych, sugerował zmniejszenie praw szlachty, apelował o poprawę doli chłopskiej. Przewidywał upadek państwa, jeśli nie zostaną powzięte kroki do naprawy Polski. Większe uznanie niż za jego życia zyskały jego *Kazania sejmowe* w roku 1772 po upadku Rzeczypospolitej. Uznano go wówczas za natchnionego proroka i wzór kapłana miłującego ojczyznę. Legendę o tym niezwykłym kapłanie utrwalił Jan Matejko w słynnym obrazie *Kazanie Piotra Skargi*.

Kto był twórcą królowej polskich kolęd *Bóg się rodzi, moc truchleje*, nazywanej również niekiedy hymnem bożonarodzeniowym?

A tę piękną kolędę napisał Franciszek Karpiński, twórca jednego z nurtów w literaturze polskiej okresu oświecenia, zwanego sentymentalizmem, jeden z najwybitniejszych twórców okresu schyłku Rzeczypospolitej. Karpiński urodził się na Pokuciu w Hołoskowie w 1741 roku, w połowie drogi między Kołomyją i Stanisławowem. W wieku dziesięciu lat został oddany do kolegium jezuitów w Stanisławowie, a potem studiował w ich akademii we Lwowie. Tam właśnie uzyskał stopień doktora filozofii. Czyli również związany z jezuitami i Kresami. Karpiński był nazywanym także „poetą serca”, był twórcą *Pieśni nabożnych*, wśród nich właśnie słów do pieśni bożonarodzeniowej *Bóg się rodzi, moc truchleje*, a także śpiewanej powszechnie pieśni *Kiedy ranne wstają zorze*. Twórczość Karpińskiego jest bardzo różnorodna, to między innymi: erotyki, sielanki, elegie, utwory patriotyczne i historyczne. Miała ona charakter nowatorski, stała się później

dla romantyków wzorem, zachwycał się nią Adam Mickiewicz, który bardzo pochlebnie o niej mówił w swoich paryskich wykładach.

Bóg się rodzi, moc truchleje jest najczęściej śpiewaną kolędą na pasterce w kościołach, także w domach podczas wigilii, jak również na spotkaniach oplatkowych w okresie Bożego Narodzenia. Czy wiemy coś więcej na jej temat?

Ta kolęda pierwotnie nosiła tytuł *Pieśń o narodzeniu Pańskim* i wchodziła w skład zbioru *29 Pieśni nabożnych* wydanego w 1792 r. przez ojców bazylianów z klasztoru w Supraślu. Warto dodać, że cały ten tom wierszy powstał z inspiracji ostatniego króla polski Stanisława Augusta Poniatowskiego. Karpiński bowiem był bliskim współpracownikiem monarchy. Dopiero później pierwsze słowa *Bóg się rodzi* stały się tytułem tej pieśni bożonarodzeniowej, wówczas zaśpiewano ją w kościele farnym w Białymstoku. Franciszek Karpiński napisał ten tekst na zamówienie żony marszałka wielkiego koronnego Stanisława Lubomirskiego – Izabeli Lubomirskiej z Czartoryskich, podczas pobytu w Dubiecku nad Sanem pod Przemysłem. Do dzisiaj istnieje tam piękny pałac, w którym przebywał.

Franciszek Karpiński, jak wiemy, uczył się w kolegium jezuickim we Lwowie. Czyli kolejna wspaniała postać związana ze Lwowem i Kresami. Im więcej czytałam na ten temat, wydawało mi się nieraz, że życia zabraknie, aby zapamiętać ten ogrom ciekawych faktów, związanych z historią Polski i ludźmi, którzy ją tworzyli na wszystkich płaszczyznach.

Tak, zgadzam się z panią. I nie ma historii Polski bez historii Kresów. Bez dziejów polskiej kultury i literatury, która na tym terenie przez kilkadziesiąt lat wspaniale się rozwijała. A wracając do Karpińskiego. Najpierw próbował pracy w palestrze lwowskiej, potem był gubernierem w rodzinie Ponińskich w Zahajpolu na Pokuciu w pobliżu Kołomyi, a następnie był sekretarzem księcia Adama Czartoryskiego w Warszawie, związał się z dworem ostatniego króla Polski. Wspierał prace Komisji Edukacji Narodowej i dzieło Sejmu Czteroletniego. Pod koniec życia nabył wieś Chorowszczyznę, gdzie spędził resztę życia gospodarując i pracując razem z chłopami. Tam zmarł w 1825 roku, a grób

jego znajduje się w Kraśniku, dziś na terenie Białorusi.

Wiem, że w czasie pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II na Ukrainę, także do Lwowa, w czerwcu 2001 roku wręczył Pan Ojcu Świętemu pamiątkowy ozdobny egzemplarz *Pieśni nabożnych* Franciszka Karpińskiego. A więc zawierający też tę najślawniejszą kolędę *Bóg się rodzi*. Jak to się stało?

To było wszystko zupełnie wyjątkowe, a zarazem odbyło się w sposób bardzo prosty. Otóż w październiku 2000 roku w dużej mierze z mojej inspiracji jako ówczesnego dyrektora Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej oraz Ryszarda Brykowskiego, ówczesnego wiceprezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” rodem z Kołomyi, zostały zorganizowane na terenie Pokucia i w Stanisławowie (ob. Iwano-Frankiówsk) kilkudniowe obchody 175. rocznicy śmierci Franciszka Karpińskiego. Został powołany kilkunastoosobowy komitet organizacyjny z udziałem wiceministrów kultury obu państw, ambasadora RP w Kijowie, wicewojwody podkarpackiego Marka Kuchcińskiego, rektora uniwersytetu w Iwano-Frankiowsku Wiktora Korczyńskiego, wybitnych badaczy twórczości Franciszka Karpińskiego, prezesów wszystkich najważniejszych towarzystw kultury z całej Ukrainy, księży z terenu archidiecezji lwowskiej, a szczególnie Pokucia. Zostałem sekretarzem tego komitetu i na mnie spadł w dużej mierze trud organizacyjny całości ze strony polskiej. W obchodach uczestniczyło co najmniej kilkaset osób. W tym okresie we wszystkich kościołach na tym terenie została odprawiona msza św. za duszę Franciszka Karpińskiego, odbywała się wspaniała sesja naukowa na uniwersytecie, zostało też utworzone małe muzeum Franciszka Karpińskiego, głównie dzięki staraniom dr Olgi Ciwkaż. Zostały odsłonięte w Iwano-Frankiowsku oraz w kościele w Kołomyi pamiątkowe tablice przypominające postać „poety serca”. Tę ostatnią zaprojektował artysta rzeźbiarz z Przemysła Waldemar Rokowski, a współfinansowało jej powstanie kierowane przeze mnie muzeum.

Czy zachowała się, oprócz wspomnianych tablic, trwała pamiątka tamtych wydarzeń?

Tak, to cenna, dobrze napisana książka *Listy o Kresach południowo-wschodnich*



Krzemieniec, fot. Janusz M. Paluch

autorstwa ks. Tadeusza Patera, salezjanina, wydana w Krakowie w 2006 roku. Opisuje w niej m.in. tamte wydarzenia, których był uczestnikiem.

Czy w czasie tamtych obchodów odwiedziliście miejsce, gdzie urodził się Franciszek Karpiński?

Tak, byliśmy we wsi Hołosków, gdzie w nieistniejącym dziś dworze urodził się Franciszek Karpiński. W pobliżu tego miejsca rośnie kilkusetletni dąb jego imienia, pamiętający tamte czasy. Wkrótce w jego cieniu powstał pamiątkowy obelisk. W Hołoskowie nie ma kościoła, więc zeszliśmy na mszę św. za duszę poety do pobliskiej Otyni, gdzie w tamtejszej świątyni zachowała się pamiątkowa tablica poświęcona ojcu Franciszka, Andrzejowi. Rozdaliśmy wszystkim parafianom w kościele *Pieśni nabożne* – okolicznościowe wydanie, żeby mogli z nami śpiewać. Ale okazało się, że z tej pomocy zupełnie nie korzystali. Teksty pieśni znali na pamięć, lecz śpiewali je trochę inaczej niż się śpiewa w Polsce, na inną melodię. Takie słowa były niekiedy inne, a niektóre zwrotki nam nieznanne, bo wymyślone na miejscu. Widocznie w czasach, kiedy nie było śpiewników, parafianie sami sobie „dopisywali” słowa i melodie. To nasunęło nam pomysł, aby te wszystkie wersje zebrać i opublikować. Okazało się później, że te różne wersje melodyczne i teksty powstały też w innych częściach Polski, podzielonej na trzy części w czasie zaborów. Po ich zgromadzeniu powstał bardzo niezwykle zbiór – świadectwo dziejów kultury, a zarazem niezwyklej

popularności Karpińskiego. I kiedy Ojciec Święty Jan Paweł II miał być we Lwowie, zawiązałem jeden egzemplarz tego zbioru dla ks. prof. Mariana Jaworskiego, ówczesnego metropolity lwowskiego, a drugi – najpiękniej wydany i oprawiony – dla Jana Pawła II ze specjalną dedykacją i prośbą, aby mu ten egzemplarz przekazać. Książkę arcybiskup powiedział, abyśmy ten egzemplarz sami wręczyli w procesji darów na mszy św. na hipodromie.

Jak to się odbyło?

Na hipodrom szliśmy 3 czerwca ze Lwowa nad ranem w wielkiej rzece wiernych – z modlitwą, chorągwiemi, pieśnią. Razem – Polacy i Ukraińcy. Kiedy wreszcie przyszedł czas na wręczenie Ojcu Świętemu w procesji darów *Pieśni nabożnych*, byłem ogromnie przejęty. Wiedziałem, że niosę dzieło zupełnie wyjątkowe, zarazem będące symbolem wszystkich polskich dokonań literackich na terenie dzisiejszej Ukrainy, począwszy od Mikołaja Reja, urodzonego w Żurawnie w Ziemi Halickiej, aż do czasów współczesnych. A niosę je Piotrowi naszym czasów, Ojcu Świętemu, zarazem Temu, który od lat szkolnych ukochał szczególnie słowo polskie, podniósł je do najwyższej rangi artystycznej, także poprzez swe dzieła, homilie, a rozszalał je jak nikt inny po całej Ziemi. Siedziałem więc po schodach ołtarza w górę wraz z moimi towarzyszami coraz bardziej przejęty, za plecami huczało pieśnią półmilionowe ludzkie morze, pracowały kamery, szła transmisja na Ukrainę, Polskę, Europę... Wreszcie kiedy się zbliżyłem przed tron, Jan Paweł II spytał cichym głosem jakoś tak bardzo bezpośrednio i serdecznie, pewnie właśnie tak, by przełamać dystans: „No i co tam niesiesz?”. Zawsze teraz, gdy w Przemysłu, tak bliskim Lwowa, składamy sobie życzenia przy choince wraz z rodziną i zaczynamy śpiewać pieśń *Bóg się rodzi*, wraca w mej pamięci ta chwila. I śpiewam tę kolędę drżącym głosem, ze szczególnym wzruszeniem.

Dziękuję za rozmowę.

Ja również. Chciałbym złożyć życzenia wszystkim Szanownym Czytelnikom właśnie tymi słowami: „Bóg się rodzi, moc truchleje!”. Oby tak się stało! W każdym sercu! Wesołych Świąt Bożego Narodzenia!

Zbigniew Wawszczak

Zdzisław Szyteyko

Partyzant z Oddziału „Kmicica”

Dziennikarz Radia Wolna

Europa – pisarz

Redaktora i pisarza Zdzisława Szyteykę (1922–2004), poznałem przypadkowo. Po nabożeństwie w polskim kościele pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej w Los Angeles moi bliscy pojechali do domu w Pasadenie, a ja zatrzymałem się w „Szarotce”, kawiarce mieszczącej się w Polskim Domu Seniora, tuż przy kościele, by przeprowadzić rozmowy z umówionymi Kresowiakami. Po zakończeniu spotkań zacząłem wypytywać obecnych jeszcze w kawiarni, czy ktoś nie mógłby mnie zabrać do Pasadeny, położonej ok. godziny jazdy samochodem.

Na moje pytanie odpowiedział niewysoki, szczupły mężczyzna:

– Jestem Zdzisław Szyteyko – przedstawił się. – Także mieszkam w Pasadenie i chętnie pana zabiorę.

Tak zaczęła się moja bliższa znajomość z byłym pracownikiem Radia Wolna Europa, który po dwudziestu latach ciężkiej pracy w monachijskiej rozgłośni przyjechał do Kalifornii, by z powodzeniem zająć się pośrednictwem w obrocie nieruchomościami.

Nie bez powodu użyłem stwierdzenia: „po dwudziestu latach ciężkiej pracy”. Radio Wolna Europa przez dziesięciolecia stało na pierwszej linii ideologicznej walki z totalitarną Rosją Bolszewicką, która poważnie zagrażała nie tylko Europie.

Były partyzant z Wileńszczyzny przez dwadzieścia lat należał do zespołu dzienników RWE. Pracując w ciasnych, niemożliwie zadymionych pokojach, nie zwracał uwagi na unoszące się w pokojach kłęby dymu tytoniowego i jego zgubny wpływ na zdrowie dziennikarzy. W ferworze pracy nikt do tego nie przywiązywał wagi.

Liczyła się szybkość i operatywność, dziennikarze odbierali setki depesz, dalekopisów z całego świata. Trzeba błyskawicznie wybierać to, co najważniejsze, przeczytać,



Pracownicy redakcji podczas pracy. Widoczni od lewej: Maria Parczewska, Zdzisław Szyłyko, Kazimierz Wierzbiański, Marian Piotrowski, Sławomir Dunin-Borkowski (siedzi tyłem). NAC



Zdzisław Szyłyko, redaktor „Dziennika radiowego”. NAC

skrót i zespolic z innymi wiadomościami do kolejnego dziennika Radia Wolna Europa.

W większości to młodzi, pełni zapału ludzie. Są dumni, że są na pierwszej linii walki z totalitarnym imperium Stalina. Wiadomości, komentarze, przekazywane w krótkich odcinkach za żelazną kurtynę powinny pokrzepiać miliony ludzi, dodawać im otuchy, że nie są sami, że o wolność wyniszczonych narodów walczyć będzie cały wolny, demokratyczny świat.

Wiele satysfakcji dają redaktorom wolnej rozgłośni listy i inne dowody sympatii i oddania, jakie nadchodzą od słuchaczy. Aby wytrwać w takim „młynie” dwadzieścia lat, potrzeba wielkiej determinacji, żelaznego zdrowia. Redaktor Szyłyko zaczyna coraz wyraźniej odczuwać skutki ogromnego napięcia, coraz częściej ma kłopoty ze zdrowiem. Przychodzi refleksja: trzeba jak najszybciej wycofać się z pracy, mimo że oprócz wyczerpania daje ona wiele satysfakcji.

Bez entuzjazmu stwierdza, że przekroczył granicę osobistego bezpieczeństwa, a przecież musi zadbać o rodzinę. Ożenił się z piękną kobietą, która urodziła mu syna. Żegna się ze słuchaczami i rozgłośnią RWE. Wyjeżdża z rodziną do słonecznej Kalifornii. Jej wspaniały, zbliżony do śródziemnomorskiego klimat może mu pomóc zahamować groźną chorobę płuc.

Jest rok 1972. W słonecznej Kalifornii założył biuro pośrednictwa nieruchomości. Praca o niebo spokojniejsza aniżeli w roz-

głośni RWE i przynosi dochody na godne życie całej rodziny. Kupuje piękny dom w Pasadenie nieopodal Los Angeles i ma nadzieję, że napisze kilka książek, opowie o pełnej niebezpieczeństw drodze z lasów Wileńszczyzny opanowanej przez Moskwę. O pisaniu myślał od dawna, ale wciąż brakowało czasu. Jest pewny, że odkładając na później pracę nad książkami popełnił bardzo poważny błąd. Teraz pozostało mu znacznie mniej czasu, by zrealizować choćby drobną cząstkę rozmaitych pomysłów.

W roku 1992 ukazuje się w Londynie debiutancka książka Szyłyki zatytułowana *Lepsza strona czasu*. Na podstawie przeżyć własnych, kolegów, przyjaciół, pisarz przedstawia wyjątkowo trudne losy pokoleń młodych Polaków z Wileńszczyzny, którzy bardzo zaangażowali się w działalność konspiracyjną, brali udział w operacji „Ostra Brama” i „Burza” i znaleźli się w swego rodzaju próżni. Walczyli w kilku dobrze zorganizowanych brygadach partyzanckich, by Ziemia Wileńska pozostała w granicach Rzeczypospolitej. Spotkał ich ogromny zawód, wielkie mocarstwa zwycięskiej koalicji (Ameryka, Wielka Brytania), zabiegając tylko o własne interesy, uległy naciskom Stalina i zaaprobowały aneksję polskich Kresów, czyli połowę powierzchni II Rzeczypospolitej.

Rozbrojonych podstępnie żołnierzy AK postawiono wobec alternatywy: albo zdecydować się na wstąpienie w szeregi tzw. armii Berlinga, albo zostaną internowani i zesła-



Fot. z archiwum autora

Wilno, lata trzydzieste. Wycieczka z Katowic na Cmentarzu na Rossie przed grobowcem „Matka i serce Syna”. Na pierwszym planie warta honorowa. Pierwszy z lewej Antoni Burzyński



ni do łagrów. Większość wybrała łagry, nie chcąc służyć w wojsku całkowicie podporządkowanym ZSRR.

Zdzisław Szyłytko, urodzony w Grodnie, w rodzinie pułkownika WP, wychowany w Wilnie, miał wiele szczęścia. Po ukończeniu świetnych wileńskich szkół: gimnazjum im. Zygmunta Augusta i liceum im. Śniadeckich, wstępuje jako ochotnik do pierwszego oddziału partyzanckiego Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”. Ten ostatni zlekceważył sugestie dowództwa wileńskiej AK, która uważała, że jest jeszcze za wcześnie na leśną partyzantkę. Szyłytko trafia do oddziału „Kmicica” i tylko wyjątkowy zbieg okoliczności sprawił, że wyszedł cało z katastrofy, która stała się udziałem bohaterskiego, ale niedoświadczonego „Kmicica”. „Kmicic” uważał, że uda mu się dogadać z partyzantką sowiecką działającą w lasach Wileńszczyzny. Mamy wspólnych wrogów, Niemców i nacjonalistów litewskich, dlaczego nie można się wspierać?

Założenie to było z gruntu fałszywe: oddziały radzieckie, rozbudowywane i sterowane wprost z Moskwy, dostały jednoznaczne wskazówki. Wileńszczyzna jest częścią Związku Radzieckiego i nie będą tu się panoszyć jakiegokolwiek polskie oddziały. Nie ma mowy o współpracy. Polską partyzantkę należy likwidować. Niestety „Kmicic” nie wiedział o całkowicie wrogim stosunku „ruskich” do polskiego podziemia niepodległościowego. Za niewiedzę lub lekceważenie faktów trzeba będzie zapłacić najwyższą cenę.

„Kmicic” stara się nawiązać kontakt z działającą w tym samym rejonie silną gru-

pą sowiecką dowodzoną przez płk. Fiodora Markowa. Ten ostatni deklaruje fałszywie, że zależy mu na współpracy z Polakami. Naprawdę chodzi jedynie o dokładne rozpoznanie niezbyt dużego – około 180 osób – oddziału „Kmicica”. Obydwa oddziały stacjonują blisko siebie. Markow konsekwentnie realizuje plan zniszczenia mało doświadczonego, niedawno powstałego oddziału „Kmicica”. Aby omówić zasadę współdziałania, zaprasza „Kmicica” i podległych mu dwunastu dowódców na naradę. Nie ma jednak żadnej narady. Polacy zostają rozbrojeni i aresztowani. W tym samym czasie „ruscy sojusznicy” otaczają odpoczywających partyzantów „Kmicica”. Wobec przewagi Rosjan, pozbawieni dowództwa Polacy składają broń. Wypadki toczą się szybko: „Kmicic” i jego oficerowie zostają rozstrzelani, część polskich partyzantów zostaje wcielona do oddziału Markowa, pozostałych czeka pluton egzekucyjny. W tak podstępny sposób „ruscy” rozprawiają się z „polskimi legionistami”.

W jaki sposób ocalał partyzant Szyłytko? Gdyby przebywał w obozie, jego los byłby przesądzony, za lekkomyślną decyzję wstąpienia do oddziału zapłaciłby życiem. Matce nie udało się powstrzymać syna, a ojca nie było w domu. Po kampanii wrześniowej płk. Szyłytko znalazł się w Londynie. Służąc w oddziale „Kmicica”, który był adiutantem płk. Szotyki, nieprzyzwyczajony do niewygód życia w lesie, licealista poważnie się zaziębił. „Kmicic” umieścił chorego u przyjacielnego rybaka nad jeziorem Narocz,

aby doszedł do siebie. Zażębie uratowało zapalonego patriotę od niechybnej śmierci. Jedni mówią, że to przypadek, inni, że czuwała nad nim Opatrzność. Doświadczenie znad jeziora Narocz uczyniło Szolęykę najważniejszym, mniej skłonny do podejmowania pochopnych decyzji.

Jak tysiące związanych z Armią Krajową, którym udało się uniknąć aresztowania i zesłania do obozów w głąb Związku Radzieckiego w 1944 roku, Zdzisław Szolęyko opuszcza Wileńszczyznę w ramach tzw. „repatriacji”. W powojennej Polsce usiłuje znaleźć pracę, ukrywając swoje związki z AK. Niestety służby bezpieczeństwa depczą mu po piętach. Na skutek sugestii z Moskwy służby bezpieczeństwa PRL uważają AK-owców z Wileńszczyzny za zdecydowanego wroga „nowego socjalistycznego ładu”. Mnożą się aresztowania, procesy, trwa nieustanna inwigilacja. Szolęyko dochodzi do przekonania, że najlepszym wyjściem będzie ucieczka na zachód – nielegalnie, przez „zieloną granicę”.

Nie jest to takie proste, setki młodych Polaków starają się uciec z komunistycznego raju. W odpowiedzi władze wzmacniają kontrole na granicach, robią wszystko, by polityczni przeciwnicy nie uciekali do krajów zachodnioeuropejskich. Po wielu poszukiwaniach udaje mu się nawiązać kontakt z dawnym znajomym ojca, który pracuje w ambasadzie francuskiej w Warszawie. Wyposażony w dokumenty stwierdzające, że jest obywatelem francuskim, może legalnie wyjechać z ojczyzny, pod warunkiem, że w czasie kontroli granicznych nie zostanie zdemaskowany.

Ma kłopoty z najbliższą rodziną. Mama i siostra, które osiadły w Gdańsku, chciałyby pójść za jego przykładem. Bardzo denerwują się, gdy oświadcza im, że jest to niemożliwe. Aby je uspokoić, składa uroczyste przyrzeczenie, że wróci po nie i zabierze do Francji. I tak się stało. Kiedy już byli razem, wyjechali do Londynu, gdzie płk. Szolęyko pracował w MON Rządu RP na Uchodźstwie.

Korzystając ze stypendiów dla polskiej młodzieży uruchomionych przez rząd brytyjski, Zdzisław nadrabia stracony przez wojnę czas. Podejmuje studia na dwóch kierunkach, dziennikarstwie i ekonomii, które kończy w 1950 roku. Z dyplomami ukończenia studiów pojawia się w Monachium, gdzie

rozpoczęła pracę nowa rozgłośnia Radia Wolna Europa. Ze swą przeszłością, entuzjazmem i chęcią dalszej walki z komunizmem podejmuje pracę dziennikarza radiowego. Teraz może docierać do wszystkich ujarzmionych krajów, głosząc dramatyczną prawdę o istocie systemu komunistycznego tam, gdzie w zwykły sposób dostęp jest niemożliwy. Radia Wolna Europa słuchaliśmy, mimo celowego zagłuszenia, nie wspominając o tym, że było to zakazane, a nawet niebezpieczne.

Jak już wspominałem, pierwsza książka Zdzisława Szolęyki *Lepsza strona czasu* ukazała się w Londynie w 1992 roku. Stanowi zbeletryzowaną opowieść o oddziale „Kmicica”. Wartka akcja, szybko zmieniająca się sytuacja, doskonale znane autorowi realia partyzanckiego życia zapewniły Szolęyce sympatię czytelników w Wielkiej Brytanii. Wtedy w Polsce była już normalna sytuacja polityczna. Szolęyko nawiązuje kontakt z Wydawnictwem Czytelnik w Warszawie i w 1997 roku, w wysokim nakładzie, ukazuje się jego druga książka *Okolice przeszłości*, w której także na podstawie własnych przeżyć ukazuje dramat młodzieży z AK z Wileńszczyzny, która usiłuje znaleźć dla siebie miejsce w nowej powojennej rzeczywistości, w kraju rządzonej przez komunistów. Starania te zwykle kończą się niepowodzeniem, dramatycznymi, surowymi wyrokami, także za patriotyczną działalność na Kresach. Książka odnosi sukces, chociaż niemłody już i schorowany autor nie ma siły, by przyjechać do Polski i zająć się promocją książki, by spotykać się z czytelnikami.

Powstała jeszcze jedna książka – *Dzień pułkownika*. Rodzaj gawędy historycznej, w której prezentuje dzieje swego przodka – dziadka, pułkownika Szolęyki – porzucającego służbę w carskiej armii, by przyłączyć się do powstania styczniowego w 1863 roku. Książka ukazała się w 2005 roku, już po śmierci Zdzisława Szolęyki, nakładem Obywatelskiego Stowarzyszenia „Ostoja”, Zwierzyniec w Rzeszowie.

Nasza znajomość trwała dwa lata. Był człowiekiem otwartym i pogodnym. Jego opowieści były zawsze interesujące i barwne. Kiedy ponownie pojawiłem się w Pasadenie, córka powiedziała mi, że pan Zdzisław Szolęyko odszedł na swój ostatni partyzancki patrol...

Karol Mikuli – rówieśnik Stanisława Moniuszki

Rok 2019, poza świętowaniem 200-lecia urodzin Stanisława Moniuszki, daje nam także doskonałą okazję do przypomnienia twórczości jego rówieśnika, kompozytora również zasłużonego dla kultury polskiej, choć na innym niż Moniuszko terytorium oraz w innym zakresie. Moniuszkę kojarzymy z Wilnem i Warszawą. W tym czasie we Lwowie – największym mieście południowej Polski pozostającej pod zaborami – najważniejszą postacią życia muzycznego był właśnie Karol Mikuli.

Co możemy powiedzieć o Karolu Mikulim? Znany jest dzisiaj przede wszystkim jako uczeń Fryderyka Chopina. Do Paryża przybył z Bukowiny – najdalej na wschód wysuniętej części Cesarstwa Austrii. Było to zanim jeszcze w 1867 r. powstały Austro-Węgry. Galicja i Bukowina podlegały administracyjnie Wiedniowi. Ojciec był Ormianinem, matka Austriaczką i pochodziła z Wiednia. Mikuli ochrzczony został w obrządku ormiańskokatolickim. Jego ojciec był właścicielem domu handlowego w Czerniowcach. Od dzieciństwa pobierał prywatne lekcje gry na fortepianie u polskiego pianisty Franciszka Kolberga. To on zapoznał swojego ucznia z twórczością Chopina. Po maturze Mikuli, zgodnie z wolą rodziców, został wysłany na studia medyczne do Wiednia. Nie ukończył ich jednak i w roku 1844 wyjechał do Paryża, gdzie przez trzy lata kształcił się w grze na fortepianie pod kierunkiem Chopina. Stał się jednym z najbliższych jego uczniów.

Po latach Mikuli wspominał: *Jedynie uczniowie znali w pełni Chopina-pianistę, którego wzniosłość i perfekcja objawiały się najlepiej sam na sam z uprzywilejowanym na lekcji. Z Paryża Karol Mikuli wyjechał w 1847 r. Powrócił do rodzinnych Czerniowiec. W roku 1858 przyjechał do Lwowa jako koncertujący pianista. Zaproponowano mu wtedy objęcie stanowiska dyrektora Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego oraz Konserwatorium.*



Karol Mikuli

W ówczesnej prasie pisano: *Uczeń Chopina, artysta młody, przybyły niedawno z szerokiej areny świata, człowiek o formach wytwornych, umiał od pierwszej chwili ująć sobie względy tak zwanego wielkiego świata lwowskiego. Nastąpiły też piękne czasy dla muzyki.*

Odtąd życie Karola Mikulego związane było już do końca ze stolicą Galicji. Kierował także przez niemal 30 lat Konserwatorium GTM, prowadząc klasę fortepianu oraz szereg przedmiotów teoretycznych. Wykształcił wielu polskich pianistów i kompozytorów, czyniąc ze Lwowa wyjątkowo istotny ośrodek tradycji chopinowskich. W ten sposób Mikuli, działając we Lwowie w środowisku polskim, dobitnie pokazał, że aby stać się zasłużonym dla kultury polskiej, nie trzeba mieć polskich korzeni. Można rzec – stał się Polakiem z wyboru, będąc jednocześnie odznaczonym Krzyżem Rycerskim Orderu Cesarza Franciszka Józefa – co jest typowo galicyjską specyfiką.

Należy pamiętać, że to właśnie Mikuli, jeszcze przed nastaniem autonomii galicyjskiej, wprowadził język polski jako wykładowy do konserwatorium we Lwowie zamiast niemieckiego.

W Roku Moniuszkowskim należy dodać, że w 1865 r. we Lwowie doszło do spotkania między Karolem Mikulim i Stanisławem Moniuszką. Chór i orkiestra GTM wykonała wtedy nowo skomponowaną kantatę *Dziady-Widma* (szerzej na temat wizyty Moniuszki we Lwowie pisałem w poprzednim numerze „Cracovia–Leopolis”).

O działalności Mikulego we Lwowie pisano w 1880 r.:

Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne uprawia przeważnie grę fortepianową i, co prawda, dzięki temu tyle jest pianistów i pianistek we Lwowie jak stosunkowo nigdzie może indziej na świecie. Całe zwłaszcza żeńskie młodsze i starsze pokolenie oddaje się zapamiętałe grze na klawikordzie, a dźwięki klawicymbału odzywiają się w każdej kamienicy, o każdej porze, z wszystkich pięter i piąterek, z poddaszy i suterenów.

Karol Mikuli działał także jako kompozytor. W swoim dorobku ma, podobnie jak Chopin, utwory fortepianowe – mazurki, polonezy, etiudy, utwory kameralne. Część z nich wyszła drukiem w lwowskiej oficynie Karola Wilda. Mikuli był bardzo blisko związany z rodziną Wildów. Do jego najzdolniejszych uczniów należała Leonia Wildowa. W swoim mieszkaniu w kamienicy przy Rynku pod nr. 2 prowadziła ona salon artystyczny, w którym wielokrotnie pojawiał się Mikuli. Z salonu dźwięki fortepianu co dzień rozchodziły się na lwowski rynek. Możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że do utworów słyszanych na Rynku lwowskim należały mazurki, polonezy i ballada fortepianowa Mikulego.

Karol Mikuli we Lwowie działał zarówno w środowisku polsko-, jak i niemieckojęzycznym. Z gronem niemieckojęzycznym (choć lwowscy Polacy w owym okresie niemieckim również władali) związane są komponowane przez niego liczne pieśni.

W przeciwieństwie do utworów fortepianowych, Mikuli w pieśniach nie inspirował się już w żadnym stopniu twórczością Chopina. Wpisują się one w nurt ogólnoeuropejskiego romantyzmu kręgu niemieckojęzycznego. W swoich pieśniach Mikuli nie przestaje

być pianistą, nie zapominając nigdy o dopracowaniu partii fortepianu, szczególnie chętnie posługując się np. techniką kontrpunktyczną.

Wśród utworów Mikulego na szczególną uwagę zasługuje *Serenada As-dur* op. 22 na klarnet i fortepian. W niej Mikuli objawia się jako uczeń i kontynuator Chopina i jednocześnie kompozytor w pełni samodzielny. W partii fortepianu usłyszeć można echa *Scherza cis-moll* op. 39 czy *Andante spianato* Chopina. W części drugiej temat wprowadzony przez klarnet przypomina melodykę ludową z terenów Bukowiny. Mamy zatem do czynienia z syntezą wpływu stylu Chopina oraz lokalnego kolorytu odległych terenów dawnych Austro-Węgier. Wirtuozowska partia fortepianu czyni z niej momentami nie serenadę na klarnet i fortepian, a serenadę na fortepian i klarnet.

Mikuli tworzył też muzykę chóralną. Był m.in. autorem opracowań polskich kolęd na chór z orkiestrą *Paraphrase sur un ancien chant de Noël polonais*. Stworzył też muzykę sceniczną (chóry) do 3-aktowej tragedii *Mnich* Józefa Korzeniowskiego, która wystawiona została w Teatrze Skarbkowskim we Lwowie w 1862 r.



Polonez na troje skrzypiec K. Mikulego opublikowany w lwowskiej oficynie Karola Wilda

Karol Mikuli stał się jedną z głównych postaci życia muzycznego Lwowa drugiej połowy XIX w. Został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim. Jako parafianin katedry ormiańskokatolickiej we Lwowie został także upamiętniony na ścianie zewnętrznej świątyni. Widnieją tam daty jego urodzin i śmierci: 1819–1897. Moje najnowsze badania nad życiem i twórczością Mikulego dowiodły, że urodził się w 1821, a nie w 1819 r. W Archiwum Uniwersytetu Wiedeńskiego natrafiłem



Tablica poświęcona K. Mikulemu na zewnętrznej ścianie katedry ormiańskiej we Lwowie

na wyraźny zapis z 1839 r. o Karolu Mikulim jako studencie Wydziału Medycznego, rozpoczynającym naukę w wieku lat 18. Rok 1821 potwierdzają także inne źródła. W XIX w. niejednokrotnie błędnie zapisywano daty urodzin niejednej osoby (dlatego rok 1819 – widniejący na nagrobku oraz na pamiątkowej tablicy – nie musi być właściwy). Nic nie stoi więc na przeszkodzie, aby 200. rocznicę urodzin Karola Mikulego świętować znów w roku 2021...

Pamięć o Karolu Mikulim, jako pianście i uczniu Chopina, kultywowano we Lwowie również w okresie międzywojennym. Natomiast jego twórczość dość szybko została zapomniana. Zwłaszcza pieśni. Powodem mógł być niewielki związek jego pieśni z twórczością Chopina. Polacy w kraju będącym pod zaborami namiastkę państwowości mieli w postaci kultury. Dlatego też w sposób szczególny kultywowano pamięć o Chopinie. We Lwowie wielką popularność zyskały pieśni autorstwa uczniów Mikulego – zwłaszcza Stanisława Niewiadomskiego. Pisane były do tekstów Adama Mickiewicza, Marii Kopnickiej. Pieśni Mikulego, do oryginalnych słów Goethego czy Heinego, nie spełniały tej roli. Z kolei w okresie międzywojennym ze zrozumiałych względów, po dopiero odzyskanej niepodległości, było jeszcze za wcześnie na docenienie tego rodzaju twórczości. Myślę, że teraz nastąpił odpowiedni czas. Pieśni te, tworzone we Lwowie przez kompozytora obracającego się w tym mieście w środowisku kultury polskiej, z całą pewnością można uznać za część spuści-

znych romantycznej, która powstała na ziemiach polskich. Inaczej Karol Mikuli wciąż pozostanie kompozytorem niczym: Ormianin, ale nie działał wśród Ormian, obywatel Austro-Węgier, ale nie działał na terenie współczesnej Austrii, pochodził z Czerniowca, które znajdowały się kiedyś w Austro-Węgrzech, później w Rumunii, działał na terenie znajdującym się dziś na Ukrainie, ale nie miał większych związków z kulturą ukraińską, zasłużony dla kultury polskiej, ale we Lwowie, w mieście,

które już nie znajduje się na terenie Polski...

W ostatnich latach kilkakrotnie udało mi się sprawić, że kompozycje Karola Mikulego zabrzmiały podczas specjalnych koncertów. Dzięki zaangażowaniu Konsulatu Generalnego RP we Lwowie pojedyncze pieśni, utwory fortepianowe, dwa tria skrzypcowe i *Serenada* wykonywane były we Lwowie i Czerniowcach w latach 2010 i 2011 przez muzyków z Warszawy: Gabrielę Machowską (fortepian), Dorotę Lachowicz (mezzosopran), Katarzynę Kalisz (sopran), Witolda Żołądkiewicza (baryton), Annę Gut (klarnet), Annę Betley-Gębską (skrzypce), Annę Orlik (skrzypce) i Martę Zalewską (skrzypce). Następnie twórczością Mikulego udało się zainteresować Austriackie Forum Kultury w Warszawie oraz Dzielnicę Śródmieście m. st. Warszawy, czego efektem był w 2016 r. koncert *Zapomniany uczeń Chopina, zasłużony obywatel Austro-Węgier* prezentujący pełne trzy opusy pieśni oraz *Serenadę*, powtórzone (już bez *Serenady*) w tym samym roku w ramach XIII Festiwalu Pieśni Kompozytorów Polskich w Pałacu w Wilanowie. W tym roku twórczością Mikulego zainteresował się Instytut Muzyki i Tańca, dzięki czemu w październiku w Pałacu na Wodzie w Łazienkach Królewskich zabrzmiały znów trzy opusy pieśni, utwory fortepianowe oraz *Serenada*. Mimo tych inicjatyw muzyka Mikulego pozostaje wciąż nieznaną dla większości melomanów (zwłaszcza poza Warszawą) i nadal czeka na należne jej miejsce w programach koncertów poświęconych tradycjom muzycznym na ziemiach polskich.

Beata Bednarz

Wspomnienia Józefa Łobodowskiego – „atamana Łobody”

Z całej plejady poetów dwudziestolecia międzywojennego Józef Łobodowski pozostaje mało znanym twórcą. A przecież jego biografia i dorobek są równie barwne i imponujące, warte uwagi i ponownego odkrycia. W antologii poezji polskiej doby międzywojennej, wydanej w 1997 roku, są zamieszczone tylko trzy wiersze jednego z najbardziej utalentowanych poetów dwudziestolecia międzywojennego, a związanego z II Awangardą i kręgiem pisarzy ideowo lewicowych.

Żywot człowieka gwałtownego zawiera opis niezwykle burzliwego życia, począwszy od patriotycznej i „kozackiej” zarazem atmosfery domu rodzinnego po lata trzydzieste, kiedy to kielkowały i kształtowały się poetycki talent i światopogląd Józefa Łobodowskiego. Jest to głos świadka doniosłych wydarzeń, począwszy od rewolucji rosyjskiej w latach 1915–1916, a potem bolszewickiej (przyszły poeta oglądał jej krwawe epizody, w tym pogrom ludności pochodzenia niemieckiego, oraz doświadczył głodu), poprzez odradzające się państwo polskie po pierwszej wojnie światowej, po lata trzydzieste, kiedy to pojawiało się coraz więcej złowieszczych znaków, że może wybuchnąć kolejna, jeszcze straszniejsza wojna. Głos człowieka dziś może nieco zapomnianego, ale jakże dla polskiej literatury i historii znaczącego.

Książka wnosi nowe akcenty do tego, co już wiemy o literackim środowisku dwudziestolecia międzywojennego. Wspomnienia ukazują bowiem w nowym i wiarygodnym świetle największe osobistości poetyckiego parnasu doby międzywojennej: Józefa Czechowicza i zgromadzonych wokół niego w Lublinie kolegów po piórze, Juliana Tuwima, Mieczysława Grydzewskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Zuzannę Ginczanek. Łobodowski doskonale bowiem znał literatów, których przedstawia, z większością się przyjaźnił. Ukazuje także ze swojej perspektywy losy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego



Józef Łobodowski, źródło: NAC

go i Władysława Broniewskiego. Ponieważ przywołane przez Łobodowskiego historie dotyczą pokolenia, które zostało przetrzebione przez wojnę, a potem komunizm, poeta nazwał swoje wspomnienia przechadzkami po cmentarzu.

Łobodowski urodził się w 1909 roku w Purwiskach na Suwalszczyźnie. W okresie międzywojennym Purwiszki znajdowały się w Polsce (była to Litwa Górna, zwana dawniej Auksztotą, i takiego określenia użył we wspomnieniu Łobodowski), obecnie są poza jej granicami. Poeta rozpoczął swoje malownicze wspomnienia od podszytych autoironią i humorem opowieści o swoim kresowym dzieciństwie, charakterystycznym dla dziecka ze średniozamożnej rodziny ziemiańskiej, a spędzonym kolejno w Lublinie, Moskwie, Jejsku (portowym mieście położonym przy Morzu Azowskim) i z powrotem w Lublinie. Uprzedzając ewentualne pytania ciekawych czytelników, poeta wyjaśnia, dlaczego, urodzony w Auksztocie, znalazł się tak szybko w Lublinie: *Po powrocie z wojny*



japońskiej – mieliśmy w domu liczne chińskie parawany i wachlarze, porozwieszane na ścianach; ojciec przywiózł je z Mandżurii – stary podał się do dymisji i kupił niewielki mająteczek w Purwiskach, od rosyjskiego właściciela. Dał zadatek, reszta miała być wpłacana w dogodnych ratach. Aliści wkrótce potem córka poprzedniego właściciela zapadła na gruźlicę i lekarze dla jej ratowania nakazali wyjazd do południowych Włoch. Ojciec gruźliczki napisał do mego ojca błagalny list z prośbą o przyśpieszenie spłat. Nie było rady, po daremnym poszukiwaniu pożyczki ojciec sprzedał mająteczek z poważną stratą i wrócił do służby wojskowej. To wtedy właśnie otrzymał ponownie przydział do 8. batalionu saperów w garnizonie lubelskim.

Do najciekawszych fragmentów reminiscencji Łobodowskiego należą opisy: dramatycznego powrotu w 1922 roku do Polski (przez Rostów nad Donem, Połtawę, Kijów, Berdyczów, Sławutę, Szepietówkę i Zdołbunów do Równego), w czasie którego umrze na tyfus jego młodsza siostra, lubelskich perypetii gimnazjalnych i studenckich, początków działalności kulturalnej (w tym

prokuratorskiej konfiskaty tomiku za obrazę moralno-religijną), służby wojskowej przy 44. Pułku Strzelców Kresowych w Równem i próbie samobójczej, a także definitywnego zerwania z ideologią komunistyczną i związanego z tym ryzykownego wyzwania. Łobodowski chciał bowiem naocznie przekonać się o tym, o czym już wiedział, czyli o głodzie na Ukrainie i „słonecznej rzeczywistości” w Związku Sowieckim. Postanowił to sprawdzić inaczej niż Władysław Broniewski dwa lata wcześniej. W 1935 roku Łobodowski bowiem pieszo i nielegalnie przekroczył granicę z Rosją Sowiecką. Warto przeczytać o tej graniczącej z szaleństwem wędrówce po Wołyniu i Ukrainie. Oto krótki fragment: *Pierwsze spotkanie z miejscowymi miało swój wdzięk: wczesnym rankiem następnego dnia spotykam na skraju lasu młodą dziewczynę, zbierającą do kobiałki grzyby lub jagody. Podchodzę bliżej: – „Sława Bohu!” – co zastępuje polskie „Niech będzie pochwalony!”. Nie usłyszałem normalnego „Na wiki wikiw”, dziewczyna popatrzyła na mnie ostupałym wzrokiem, rzuciła koszyk i w nogi. Jak doda poeta: To pierwsze doświadczenie było dostatecznie wymowne, aby zrezygnować z dalszej podróży.* Ignacy Matuszewski poradzi mu: *Niech Pan to wykorzysta w przyszłości. Teraz lepiej o tym nie pisać.* O tej przygodzie napisze więc dopiero pięćdziesiąt lat później.

Nie brakuje w książce innych fascynujących historii o tajemniczych czy niezwykłych epizodach, choćby o jasnowidzeniu Cyganki, które się sprawdziło, o tym, jak się przygotowywał do matury, ucząc się... na cmentarzu, czy nielegalnym handlowaniu samogonem i samodielkami w ogarniętej głodem Moskwie i pobycie w związku z tym w celi.

Józef Łobodowski, który sam siebie nazywał atamanem Łobodą, to niewątpliwie barwna i warta bliższego poznania postać polskiej literatury współczesnej. Należy żałować, że tak późno zaczął spisywać wspomnienia i że urwały się one na przedwojennym okresie jego „kozackiego” żywota. Poeta odniósł się po latach do wielu stereotypowych przekonań na jego temat, w tym do fałszywie wykreowanego, jak sam pisze, *przez oszczerce pióro nieboszczyka Gralewskiego*, wizerunku skandalisty, gdyż podobno miał inicjować liczne awantury towarzyskie. Łobodowski stanowczo temu

zaprzeczy, stwierdzając, że *skandali obyczajowych prawie nie było* i że teksty jego kolegów po piórze zawierają liczne fantazje i zmyślane wersje. Poeta dosyć skrupulatnie rozprawia się z krążącymi o nim legendami, choćby wokół mieszkańców (uwiecznionego w literaturze za sprawą powieści Zbigniewa Uniłowskiego) *wspólnego pokoju* przy ulicy Dobrej w Warszawie. Demaskuje kłamstwa na swój temat. Ponadto demystyfikuje utarte sądy na przykład o *sanacyjnym terrorze w stosunku do lewicowych pisarzy*, opisując wielce interesujące sytuacje temu zaprzeczające, albo o niektórych epizodach w życiorysach Tuwima, Gałczyńskiego i Broniewskiego. Łobodowski był przekonany, że Gałczyński popełnił samobójstwo.

Nie sposób wymienić wszystkich intrygujących wątków, jakie pojawiają się w *Żywocie człowieka gwałtownego*. Prezentację wspomnień, aby jeszcze bardziej zachęcić do sięgnięcia po nie, zakończę zapisaną w nich anegdotą dotyczącą Broniewskiego, a właściwie jego trzeciej żony: *Znałem pierwsze dwie; Janina, czynna komunistka, wstawiona słynnym strajkiem razem z Wandą Wasilewską, była bardzo ładna i sprytna, druga, doskonała aktorka, była wybitnie inteligentna, trzeciej nie znam, opowiadano mi o niej, że łączy wybitną urodę z nie mniejszą głupotą. Kiedyś wychodząc z teatru, zdenerwowała się zbyt długim oczekiwaniem na futuro i zwróciła szatniarzowi uwagę: – Panię, to pan nie wie, że jestem żoną najwybitniejszego polskiego poety?! – Szatniarz przyjrzał się jej uważnie, po czym zawołał do swego pomocnika: – Felek, futuro dla pani Słowackiej!*

Wspomnienia *Żywot człowieka gwałtownego* zostały spisane przez Józefa Łobodowskiego na zamówienie wydawnictwa Editions Spotkania. Notowane były do ostatnich chwil życia. Końcowe fragmenty zostały wyjęte z maszyny do pisania dzień po śmierci autora. Wspomnienia uzupełnione są o wstęp Jacka Trznadla, kalendarium oraz aneks składający się z tekstów publicystycznych Józefa Łobodowskiego napisanych w przedwojennej Polsce.

Wszystkie cytaty pochodzą z: Józef Łobodowski, *Żywot człowieka gwałtownego*, Editions Spotkania, Warszawa 2014.

Jarosław Krasnodębski

Józef Malach – autor pomnika legionisty w Stanisławowie

Jednym z niewielu artystów działających w Stanisławowie, o którym chciałbym wspomnieć, był **Józef Malach**, znany jako autor pomnika legionisty. Urodził się 27 lutego 1877 roku (podaje się także 1879 rok) w małej miejscowości Grodzisko na Podkarpaciu. Od najmłodszych lat rozwijał swój talent artystyczny. Po pierwszych latach nauki wstąpił do dobrze znanej w Galicji zakopiańskiej Szkoły Przemysłu Drzewnego, gdzie uczył się przez dziesięć lat. Następnie jako jej absolwent spróbował swoich sił w renomowanej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Przez większość czasu kształcił się pod kierunkiem wielkiego artysty rzeźbiarza Konstantego Laszczki, u którego plasował się bardzo wysoko. Z wypełnionej przez Józefa Malacha karty nauczycielskiej szkolnictwa zawodowego dowiadujemy się, że odbył on także pięcioletnie studia w szkole artystycznej w Rzymie. Po tym wszystkim zdecydował, że wróci do Grodziska, gdzie założył, prowadzoną przez sześć lat, pracownię rzeźbiarsko-stolarsko-pozłotniczą. Udało mu się w tym czasie wykonać dla kościoła pw. św. Anny i Barbary w Grodzisku Dolnym ołtarz główny z drewna, którego zdobną obrazą *Świętej Rodziny* i *Świętej Barbary* wykonane przez malarza z Leżajska Władysława Bąkowskiego. Następnie w latach 1919–1920 Malach pracował w charakterze rysownika w lwowskiej Dyrekcji Kolejowej. Resztę życia spędził zaś w Stanisławowie; uczył tu rysunków i modelowania w Krajowej (później Państwowej) Szkole Przemysłu Drzewnego.

Jako zdolny artysta sporządził projekt pomnika legionisty, który został wykonany w zakładzie rzeźbiarsko-kamieniarskim Mariana Antoniaka. Inicjatorem jego powstania była z kolei zaangażowana działaczka społeczna



Józefa Fuchsówna, członek Polskiej Organizacji Wojskowej. Pomnik został odsłonięty 18 września 1927 roku o godzinie 11.00 na terenie dawnego Cmentarza Sapieżyńskiego w miejscu pochowania legionistów poległych pod Mołotkowem, Zieloną i Rafajłową. Odsłonięcia pomnika dokonał, w imieniu marszałka Józefa Piłsudskiego, gen. Mieczysław Norwid-Neugebauer przy udziale lokalnych przedstawicieli władz, kompanii honorowej, różnych delegacji i reprezentantów stowarzyszeń. Pomnik przedstawiał wykutą w kamieniu postać żołnierza naturalnych rozmiarów przylegającą do wklęsłego muru. Na cokole pomnika widniał napis: *Legiony Polskie 1914–1948. Z krwi waszej trudu i znoju Polska powstała, by żyć*. Posiadał on także, jak pisało w prasie, *tablicę z nazwiskami tych młodych bohaterów, którzy poszedłszy w bój o Niepodległość Ojczyzny padli na polach karpaccich, a przewiezieni przez wroga do szpitala w Stanisławowie – tu pomierali ze śmiertelnych ran*.

Dzieło Malacha przetrwało większość okresu II wojny światowej, zostało zniszczone dopiero po 1944 roku. Na jego miejscu stoi obecnie pomnik przypominający usypany kurhan, poświęcony żołnierzom Ukraińskiej Powstańczej Armii i pierwszej dywizji SS „Galicja” oraz członkom Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Drugim ważnym zleceniem Malacha w Stanisławowie było przeprowadzenie retuszu, a następnie wykonanie odlewu gipsowego pomnika Adama Mickiewicza, który zniszczyli Ukraińcy, gdy zajęli miasto na ponad pół roku (1 XI 1918–25 V 1919). Posąg ten został później odesłany do słynnej warszawskiej odlewni artystycznej Braci Łopieńskich. Stał na nowym cokole granitowym w 1930 roku i do dziś cieszy oko każdego mieszkańca Iwano-Frankiwska.

Mimo swojego wieloletniego doświadczenia Malach nie mógł pochwalić się zbyt dużym dorobkiem artystycznym. Pierwsza wojna światowa zniszczyła większość jego prac, co zauważyli widzowie podczas pierwszej wystawy stanisławowskich artystów urządzonej w 1930 roku. Artysta pokazał wtedy zaledwie osiem rzeźb. Pisano o nich: *Wszystkie jego prace: biusty portretowe, akty i kompozycje – noszą na sobie znamiona pewnej ręki, opanowania bryły, znajomości anatomii ciała ludzkiego, posiadają życie i wyraz, a odznaczają się w portretach trafnym uchwytniem charakteru głów*.

Bardziej krytycznie wyraził się o rzeźbach Malacha lwowski krytyk sztuki Marian Minich. Oglądając w dwa lata później jego rzeźby na kolejnej wystawie stwierdził: *W swych portretach jest zdecydowanym realistą, pozwalając niekiedy wysuwać się pierwiastkom romantycznym, jak to można dostrzec w gipsowej „Głowie kobiety”*. *Ogółem jednak artysta w pościgu za wiernym oddaniem natury zatracca tutaj formę artystyczną, nie wydobywając przy tym pierwiastków osobowych osób portretowanych. Daleko lepsze są jego akty, świadczące o dobrej znajomości anatomii i umiejętności podchwycenia do pewnego stopnia ludzkiego ruchu ciała*.

Prezentowane przez niego dzieła w większości najprawdopodobniej nie przetrwały burzliwej historii drugiej wojny światowej. Pozostały tylko ich tytuły utrwalone w prasie i katalogach. Stąd wiemy, że Malach wystawił między innymi portret gipsowy właściciela sanatorium dr. Jana Gutta i rzeźbę z brązu architekta międzywojennego Stanisława Treli. Po swoich debiutach artystycznych w Stanisławowie zdolny rzeźbiarz dość szybko zmarł w sierpniu 1933 roku i został pochowany na nieistniejącym już Cmentarzu Sapieżyńskim.

Eugeniusz Sała / „Kurier Galicyjski”

XVI Świąteczko Pamięci dla Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie

W dniu Wszystkich Świętych we Lwowie po raz 16. odbyła się akcja Świąteczko Pamięci dla Cmentarza Łyczakowskiego, zorganizowana przez Konsulat Generalny RP. W tym roku na jednej z największych polskich nekropolii zapłonęło ponad 35 tysięcy zniczy.

Od godzin porannych na Cmentarzu Łyczakowskim i Cmentarzu Orłąt Lwowskich przedstawiciele polskiej społeczności Lwowa i obwodu lwowskiego, uczniowie szkół, przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP we Lwowie oraz harcerze ze Lwowa i z Polski zapalali białe i czerwone znicze nie tylko na mogiłach wybitnych Polaków i swoich bliskich, ale również na opuszczonych grobach.

– Od lat mamy taką tradycję, że Polacy ze Lwowa palą znicze na wszystkich grobach na Cmentarzu Łyczakowskim i Cmentarzu Obrońców Lwowa. Ta akcja świadczy o tym, że tradycja ta kwitnie i spodziewamy się, że tak będzie w przyszłości – zaznaczył Janusz Balicki, prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie.

– Zawsze jesteśmy obecni na Orłętach. To już prawie trzydzieści lat. Od kilku lat aktywnie bierzemy udział w Świąteczku dla Cmentarza Łyczakowskiego. W tym roku przyjechało pięćdziesięciu harcerzy z Polski, są też nasi harcerze ze Lwowa. Kto mógł wyrwać się z pracy, to był do godziny dziesiątej rano, a inni do końca dnia. Pomagamy przywieźć znicze z konsulatu i potem rozstawiać je na grobach – powiedział harcmistrz Stefan Adamski z Harcerstwa Polskiego na Ukrainie.

Przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, na czele z Elizą Dzwonkiewicz, konsul generalną RP we Lwowie, żołnierze Wojska Polskiego stacjonujący na

poligonie w Jaworowie koło Lwowa, prezesi polskich organizacji, dyrektorzy szkół polskich, harcerze lwowscy przeszli alejkami Łyczakowa, aby złożyć wieńce i zapalić znicze na grobach najbardziej zasłużonych Polaków. W 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej oraz w roku Stanisława Moniuszki wybrano groby żołnierzy września 1939 roku oraz lwowskich kompozytorów.

– Tutaj też dziś bije serce Polski. Bez tych postaci, ludzi, którzy są pochowani tutaj, którzy mają tu pomniki, o których przetrwała pamięć o ich czynach, nie byłoby takiej Polski, jaka jest dzisiaj. W czasie spaceru alejkami Cmentarza Łyczakowskiego odwiedzaliśmy miejsca pochówku wspaniałych kompozytorów. Oczywiście pamiętamy także o wszystkich ofiarach i zasłużonych osobach





związanych ze Lwowem, które spoczęły tu we wrześniu 1939 roku oraz w czasie II wojny światowej – powiedziała Eliza Dzwonkiewicz, konsul generalny RP we Lwowie.

W południe przed kaplicą na Cmentarzu Obrońców Lwowa została odprawiona uroczysta msza święta, której przewodniczył metropolita lwowski arcybiskup Mieczysław Mokrzycki. Wzięli w niej udział także biskupi pomocniczy Leon Mały i Edward Kawa, duchowieństwo, polscy dyplomaci, Polacy Ziemi Lwowskiej i Żytomierszczyzny oraz Rodacy z Polski.

– Naszą lwowską tradycją stało się to, że 1 listopada gromadzimy się na mszy św. wła-

śnie tutaj, na tak ważnym dla naszej historii i każdego z nas miejscu. Dzisiaj stajemy ze świadomością spotkania ze świadkami wiary, a mam tu na myśli tych bliskim nam i dalekich, znanych i nieznanym, ze wszystkich ludów i języków, wszystkich kolorów skóry, ze wszystkich zakątków ziemi, którzy już cieszą się wiecznym szczęściem w niebie oglądając Boga twarzą w twarz – powiedział podczas homilii abp Mieczysław Mokrzycki.

Metropolita lwowski przytoczył fragment wiersza *Na cmentarzu*, który widnieje na nagrobku Marii Konopnickiej. Dzisiaj te słowa kieruję do nas i pozostawiam jako drogowskaz, podpowiedź i zachętę do bycia świętym, ponieważ wówczas nasze mogiły nie będą potrzebowały łez, skarg i żałości, ale staną się źródłem siły na dzień przyszło-





ści, czyli dla pokoleń, które przyjdą po nas. Niech zatem dzisiejsza uroczystość obudzi w nas pragnienie świętości, bo jak mawiała św. Matka Teresa z Kalkuty: świętość jest zadaniem naszego życia – podkreślił arcybiskup Mokrzycki.

Po mszy delegacje złożyły kwiaty na Grobie Nieznanego Żołnierza i na grobach żołnierzy Ukraińskiej Armii Galicyjskiej.

1 listopada na Cmentarzu Łyczakowskim odbyła się także tradycyjna modlitwa pojednania polsko-ukraińskiego. Jak co roku wzięło w niej udział duchowieństwo Kościoła Rzymskokatolickiego i Ukraińskiej Cerkwi Greckokatolickiej oraz przedstawiciele środowisk intelektualnych obu państw.

– Cieszymy się, że ta tradycja wspólnej modlitwy trwa już prawie dwadzieścia lat i nie umiera. Bo to nie jest tylko wspólna modlitwa, ale również formowanie wspólnego patrzenia w przeszłość, ale też i w przyszłość. W przeszłości było różnie, a przyszłość my budujemy i jest ona w naszych rękach. Dlatego jesteśmy tutaj – podkreślił historyk i publicysta Taras Wozniak, dyrektor Lwowskiej Galerii Sztuki.

Wieczorem na Cmentarzu Łyczakowskim i Cmentarzu Orłąt Lwowskich zapłonęły tysiące białych i czerwonych lampek tworząc wyjątkową atmosferę.

Cmentarz Łyczakowski jest jedną z najstarszych nekropolii w Europie. Jego historia sięga roku 1786. Spoczywa tu ok. 300 tysięcy osób. Tutaj znajdują się groby wybitnych Polaków – ludzi nauki, kultury, sztuki, polityki, sportu czy życia społecznego.

Znajdują się tu mogiły m.in. Marii Kopnickiej i Gabrieli Zapolskiej, matematyka Stefana Banacha i malarza Artura Grottgera, poety Seweryna Goszczyńskiego, a także okazałe grobowce zasłużonych lwowskich rodzin Baczewskich i Morawskich.

Spoczywają tu przedstawiciele czterech pokoleń bojowników o wolność i niepodległość Polski: uczestnicy insurekcji kościuszkowskiej, żołnierze napoleońscy, uczestnicy powstań – listopadowego i styczniowego, obrońcy Lwowa.

Fot. Karina Wysoczańska / „Kurier Galicyjski”



Paweł Brzegowy

Sprawozdanie z obchodów jubileuszu 25-lecia Lwowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku

Z okazji rocznicy ćwierćwiecza działalności Lwowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku (LUTW) w dniach 18–21 września 2019 r. odbyło się we Lwowie spotkanie jubileuszowe połączone z konferencją naukową poświęconą problemom ludzi w wieku podeszłym i starszym oraz polityce senioralnej, na które zaproszono przedstawicieli UTW z Polski oraz wszystkie polskie UTW zza wschodniej granicy. Jubileusz był okazją do zapoznania się z działalnością LUTW i wymiany doświadczeń oraz sposobnością do zwiedzenia zabytków najpiękniejszego miasta świata i jego okolic.

W czwartek 19 IX o godz. 10 w kościele św. Antoniego odbyła się msza św. w intencji placówek dydaktycznych dla osób w wieku poprodukcyjnym. Po zakończeniu nabożeństwa uczestnicy jubileuszu autokarem udali się na Cmentarz Obrońców Lwowa, gdzie na grobie nieznanego żołnierza złożono oko-

licznościowe kwiaty. Przez kolejne godziny spacerowano indywidualnie lub w grupach po Cmentarzu Łyczakowskim oddając się refleksji, zadumie, modlitwie i porządkowaniu wybranych mogił. Wspaniałym przewodnikiem okazał się znakomity znawca historii polskiego Lwowa Jan Tysson. O godz. 16 w auli Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu Medycznego im. Daniela Halickiego przy ul. Schimserów 3 nastąpiła uroczysta inauguracja obchodów jubileuszowych. Po przywitaniu przybyłych gości i występie chóru Lutnia głos zabrała doc. dr n. med. E. Hrycaj-Małańczak wygłaszając prelekcję pt. *Prezentacja 5-letniej działalności Lwowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku*. Drugie wystąpienie Wiesławy Borczyk traktowało o roli polskich UTW w budowaniu polityki senioralnej. Drugi dzień pobytu we Lwowie zakończyła rozpoczęta o godz. 19 kolacja w kawiarni uniwersyteckiej, stanowiąca po-



Uczestnicy jubileuszu na schodach Kościoła św. Antoniego
Fot. Marian Frużyński



Konferencja naukowa „Problemy seniorów i polityka senioralna”. Fot. Marian Frużyński

wód do wielu zajmujących dyskusji dotyczących seniorów i spraw kresowych.

Piątek 20 IX wypełniła odbywająca się w hotelu Lwów konferencja naukowa „Problemy seniorów i polityka senioralna”, podczas której wystąpiło dwunastu referentów. Po otwarciu konferencji przez doc. dr n. med. E. Hrycaj-Małańczic, jako pierwszy głos zabrał honorowy prezes działającej przy Miejskim Ośrodku Kultury w Olsztynie Akademii Trzeciego Wieku Czesław Wojniusz, który opowiedział o integracji polskich UTW z wschodniej granicy. Występująca jako druga Maria Pyż skupiła się na opiece senioralnej we Lwowie przedwojennym i współczesnym. Trzeci prelegent prof. dr hab. Adam Zych uwagę zogniskował na możliwościach i ograniczeniach polskiej polityki senioralnej. W dalszej kolejności prof. dr hab. Katarzyna Dormus wyświetliła problem przeobrażenia roli osób starszych w społeczeństwie europejskim w perspektywie historycznej. Ostatni z referatów przed dyskusją prof. dr hab. Stanisławy Golinowskiej poświęcony był starzeniu się w zdrowiu.

Po przerwie na kawę sesję drugą zainicjował Andrzej Pacia, który wyjaśnił, jak domy pomocy społecznej pomagają w rozwiązywaniu rozmaitych problemów. Wystąpienie dra Stanisława Dziedzica pt. „*Domy gdziekolwiek*” ojca *Serafina Kaszuby* traktowało o sylwetce i działalności charyzmatycznego duchownego, zwanego „włóczęgą bożym”. Ósmy z referatów prof. dr hab. Eliny Łunarskiej-Borowieckiej udzielił od-

powiedzi na pytanie, jak tzw. koperta życia w razie wypadku lub nagłej choroby może być pomocna dla seniora, jego rodziny i pracowników medycznych. Po krótkiej przerwie kawowej prof. nadzw. UP dr. hab. Witold Wilczyński opowiedział o migracjach ludności w wieku emerytalnym w Europie. Występującą następnie dr Paweł Brzegowy na wybranych przykładach przedstawił współczesne przemiany przestrzeni miejskiej Lwowa. Ostatnia prelekcja dra Krzysztofa Schreyera i Alicji Patey-Grzybowskiej była okazją do zaprezentowania wybranych wierszy własnych, które nagrodzono gromkimi brawami. Konferencję naukową zakończył uroczysty bankiet w restauracji hotelu Lwów. Przyjęcie rozpoczęte o godz. 17 dobiegło końca w późnych godzinach nocnych. W sobotę 21 IX o godz. 9 uczestnicy jubileuszu udali się na całodniową wycieczkę przewodniczką do zamków w Olesku i Podhorcach.

Jubileusz ćwierćwiecza LUTW był również świętem doc. dr n. med. Eweliny Hrycaj-Małańczic, której podczas wzmiarkowanego bankietu dziękowano wielokrotnie, winszując odniesionych sukcesów zawodowych i organizacyjnych oraz życząc zdrowia i sił do kierowania w kolejnych latach LUTW i Stowarzyszeniem Lekarzy Polskich we Lwowie. Nie ulega wątpliwości, że przygotowanie jubileuszu wymagało wielkiego, wielomiesięcznego poświęcenia. Autor niniejszego sprawozdania przyłącza się do złożonych gratulacji i dziękuje za zaproszenie do Lwowa.



Nostalgicznie, przedświątecznie, apetycznie... O zeszycie z przepisami kulinarnymi

Od zawsze pamiętam w domu dwie grube książki kucharskie, jednak żadna z nich nie wyszła spod pióra sławnej Lucyny Ćwierciakiewiczowej. Podstawową wyrocznią była oprawiona w bordową mocną tekturą okładkę „Monatowa”. Podobnie bowiem jak w kręgach naukowych nazwisko zastępuje czasem tytuł dzieła – dostąpili tego zaszczytu Karol Estreicher, Rafał Taubenschlag, Stanisław Konturek czy Adam Bochnak – tak dla mojej babki (dyrektorki Państwowej Żeńskiej Szkoły Zawodowej przy ul. Syrokomii w Krakowie) oraz jej lwowsko-krakowskich przyjaciółek najważniejsza była właśnie Monatowa, czyli *Uniwersalna książka kucharska z ilustracjami i kolorowymi tablicami...* autorstwa Marii Ochorowicz-Monatowej (1866–1925) z d. Leszczyńskiej, która po rozwodzie z filozofem Julianem Ochorowiczem poślubiła krytyka literackiego Henryka Monata. Kto pamięta dziś prace pana Henryka? Smutne, ale pewnie nikt poza wąskim kręgiem fachowców, podczas gdy książki jego żony wydawane są wciąż na nowo, ciesząc się niezmienną popularnością. Częściej jednak Mama sięgała po nieco młodszą książkę – *Przyrządzenie potraw* – autorstwa Zofii Czerny (1894–1964), z ilustracjami Marii Strasburger (1896–1963), wydaną we Lwowie przez Książnicę Atlas w 1936 r. Obie autorki po wojnie, w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, wspólnie opracowały i od 1947 r. wydawały coraz to nowe książki: *Zasady żywienia*, *Żywienie rodziny*, *Żywienie rodziny wiejskiej*, *Gotuj smacznie i zdrowo* i inne.

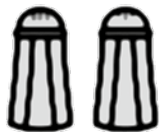
Ale nie o tych książkach, choć wartych szczegółowych rozważań, chcę pisać, ale o znalezionych w nich dwóch cienkich zeszytach i wielu luźnych karteczkach, poźółkłych i postrzępionych, przetartych na zgęściach. Pisane różnymi charakterami pisma (ja rozpoznaję tylko pismo

Mamy, Babci i Cioci Feli Peterowej z Tomaszowa) zawierają skarbczyk przepisów kulinarnych. Najstarszy zeszyt ma podcięty prawy brzeg i zrobiono zeń skoroszyt, podzielony na następujące działy: Zupy, Potrawy mięsne, Potrawy Jarskie, Sałaty i przystawki, Leguminy, Piekarstwo, Przetwory i Różne.

Te części są różnicowane: zup jest np. tylko sześć – najwyraźniej uważano, że każda pani umie sama zrobić te podstawowe, bo są to przepisy mniej codzienne: polewka z wina, zupa owocowa, neapolitanka, zupa z brukselki, chłodnik litewski i... kleik dla chorych. Potraw mięsnych jest również niewiele – dziewięć – w tym kaczka, paszтет zajęczy i zajęć po polsku. Potrawy jarskie tylko trzy, w tym – budyń z kapusty; sałat – pięć; przetworów – sześć (co ciekawe, tu włączono kruszon, objaśniony jako napój na zabawy, przyjęcia) oraz „jam” pomarańczowo-jabłkowy. Jak widać, słowo „dżem” dopiero wchodziło w użycie.

Ale desery!

Owe „leguminy” przyprowadzają o słodki zawrót głowy. Kisiel cytrynowy, jabłka w kremie waniliowym (tzw. jeż), mleczko migdałowe, mus cytrynowy, krem waniliowy, szodon z wina, budyń księżniczki, krem ponczowy, lody pomarańczowe i waniliowe, mleczko karmelowe, suflet cytrynowy, placek „goście jadą”, krem herbaciany, pralinowy, biszkoptowy, pomarańczowy, kawowy (wykwintny!), budyń: orzechowy, pomarańczowy, śliwkowy. Za nimi zaś dział „Piekarstwo” i aż 31 przepisów na torty, ciasta i ciasteczka. Są tu ptysie ze śmietaną, jabłka w szlafrokach, sucharki lukrowane, ciastka linckie, kocie oczka, pączki i paluszki z kminkiem, są trudne torty: migdałowy z różą, czekoladowy, bakaliowy, daktylowy, pomarańczowy, prowiancki (!) i swojsko brzmiący torcik „raz-dwa-trzy” – czyli orzechy, cukier, masło i andruty.



To podręczny zeszytyc Babci; Mama zapisywała swoje przepisy w innym, gotowym już skoroszytycie z lat 50.–60. W środku dołączona jest składka z przepisanyymi na maszynie, a także inne, nieraz – wzruszające świstyki. Tu już więcej jest bardziej oszczędnościowych przepisów: budyń z pozostałej bułki, legumina grysikowa, serdelki w sosie pomidorowym, sałatki z surowych jarzyn, klops, babka, jabłka zapiekane w kremie, piaskowiec. Ale i tutaj królują torty i torciki. Leguminy – wyraźnie w odwrocie.

Czasem zapisane imię lub nazwisko autorki skomplikowanego przepisu – i pomyśleć, że dziś te receptury byłyby strzeżone lub objęte patentem! Ze wzruszeniem zagląda się także do zaprzyjaźnionych domów, gdzie owe cudeńka przyrządzano i wypiekano. Najczęściej wymieniana jest pani Erwina Mokrańska (o której nic nie wiem!) – autorka przepisów na pasztet z zająca, piernik rumuński i tort pomarańczowy-andrutowy. Jest pani Rehmanowa, autorka świetnego tortu czekoladowego. Przepisy na pączki pochodzą od pani Bartusowej i Stefy Nalepowej (tę ostatnią pamiętam z dzieciństwa). No i wreszcie te znajome i zaprzyjaźnione panie: Maniusia Negruszowa, twórczyni tortu z masą cytrynowo-pomarańczową, to żona lwowianina, profesora Akademii Górniczej w Krakowie, Kazimierza Apolinarego Negrusza: oboje spoczywają na cmentarzu Salwatorskim. Helena z Linków Alexandrowiczowa (1893–1988), żona Zenona, polonisty i pracownika Ossolineum, a bratowa słynnego dyrektora lwowskich wodociągów, Stanisława Alexandrowicza (1870–1934); lubiła ona torty migdałowe: dwa z przepisów są jej autorstwa, właśnie na tort migdałowy i migdałowy z różą. Dodajmy, że Helena i Zenon Alexandrowiczowie mieszkali wraz z synem Adamem przy Kurkowej 25 i serdecznie przyjaźnili się z rodziną Reichertów i Peterów. Wspomnienia Adama Alexandrowicza publikowane były w CL w 2014 roku. I jeszcze inni mieszkańcy Kurkowej: Gottfriedowie, rodzina, rodzice i rodzeństwo przedwcześnie zmarłego w 1915 r. poety Stasia Gottfrieda. Tu jednak wspomnienie należy się jego starszej siostrze Marylce, autorce prostego torciku orzechowego i „tortu-placka czekoladowego”. Marylka poślubiła oficera WP i sędziego

sądu wojskowego Jana Dąbrowskiego. W 1940 r. została zesłana wraz z ojcem i córkami, ojca straciła na zesłaniu, natomiast panie wy dostały się z Rosji z Armią Andersa. Marylka zmarła w 1944 r. w Egipcie, jej mąż zginął w Katyniu. I jak tu nie myśleć z czułością i żalem o pieczołowicie zachowanych przepisach Marylki Dąbrowskiej?

Z pewnym zażenowaniem stwierdzam, że nigdy owych przepisów nie wykorzystałam, że te receptury i smaki bezpowrotnie pójdą w niepamięć. Więc, by powrócić do świątecznego nastroju i do świątecznych przygotowań, przytaczam cztery przepisy, dosłownie tak, jak je znalazłam w lwowskich, Babcinyh i Maminyh, zeszytach. Najpierw piernik, wymagający dłuższych przygotowań, potem zaś dwa torciki, a na koniec, by zlikwidować skutki świątecznego obżarstwa – kleik...

Piernik „Wisielec”

Składniki

Ciasto: ½ kg miodu, 20 dag masła, 25 dag cukru mączki, 1 kg mąki, 2 jaja, korzenie, 3 dag sody oczyszczonej, ½ szklanki mleka
Masa: 15 dag czekolady, 4 łyżki mleka, 15 dag cukru mączki, 20 dag masła, 4 żółtka

Przygotowanie

Stopić miód, cukier, masło na masę. Po stopieniu wylać na miskę, przestudzić, dodawać po trochu mąki, mieszając, żeby nie było grud, dodać dwa całe jajka, zapachy skórki cytrynowej i pomarańczowej, sodę oczyszczoną rozpuszczoną w ½ szklanki mleka. Wymiesić, obwiązać szczelnie ściereczką i zawiesić na dwa tygodnie.

Podzielić ciasto na trzy części, rozwałkować, podziurkować widelcem i piec trzy placki (od 10 do 15 minut).

Czekoladę rozgrzać z mlekiem, dodać cukier, zagotować, odstawić. Masło utrzeć na pianę, dodać cztery żółtka i rozpuszczoną czekoladę. Przełożyć tą masą dwa placki. Placki można skropić rumem. Drugą warstwę przełożyć marmoladą.

Przycisnąć deską. Polukrować glazurą czekoladową.



Tort migdałowy od p. Heli

Składniki

25 dag masła, 25 dag cukru mączki, 25 dag migdałów, wanilia, 9 białek, 2 łyżki mąki, konfitura z róży albo daktyle

Przygotowanie

Masło dobrze utrzeć z cukrem, dodać zmielone migdały i wanilię, lekko wymieszać z pianą z 9 białek i mąką. Tortownicę wysmarować i posypać bułką. Masę podzielić na dwie części, przełożyć przed pieczeniem cienką warstwą róży albo ok. 40 dag pokrojonych w paski daktyli. Polukrować lukrem białym (cytrynowym).

Tort pomarańczowy od p. Mokrańskiej

Składniki

8 żółtek, 6 całych jaj, 25 dag cukru, 25 dag migdałów, skórka i sok z 3 pomarańczy

Masa: 8 żółtek, 1½ szklanki cukru, 25 dag masła, sok i skórka z 2 pomarańczy

Przygotowanie

Żółtka, jajka, cukier, migdały sparzone i zmielone razem przez godzinę trzeć. Dodać skórkę i sok z pomarańczy. Tortownicę wysypać bułką. Upiec dwa placki.

Ubić na parze krem z żółtek, cukru i pomarańczy; gdy zgęstnieje, utrzeć z masłem.

No i ewentualnie na po Świętach:

Kleik dla chorych

Składniki

10 dag krup, 2 dag masła

Przygotowanie

Na kleik dla chorych można używać krup perłowych, jęczmieniowych i owsianych. Krupy wrzucić do zimnej wody z masłem. Gdy się rozkleją, przefasować przez gęste sito i do smaku dodać soli.



Anna Stengl
Janusz M. Paluch

Trzydzieści lat jak z bicza strzelił!...

Nie chce się wierzyć, ale naprawdę minęły trzy dekady naszej działalności – Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich istnieje trzydzieści lat! Nie czas, by tworzyć listy strat i zysków, bo sam fakt, że istniejemy i działamy, jest najważniejszy. I to, by być i przypominać o roli Lwowa i Kresów w dziejach Polski – historii, ale i współczesności, wszak Polacy nadal żyją na Kresach, a swą pracą i działalnością kulturową odciskają wyrazisty ślad na współczesnej historii państwa ukraińskiego.

Uroczyste obchody naszego jubileuszu odbyły się 5 października w klasztorze oo. Bernardynów u stóp Wawelskiego Wzgórza w Krakowie. Tradycyjnie już, bowiem poprzednie uroczystości jubileuszowe miały miejsce też w konwencji krakowskich Bernardynów. Czujemy się tam dobrze, prawie jak u lwowskich Bernardynów. Wszak znajduje się tu obraz Matki Boskiej Sokalskiej, którego kopia towarzyszyła nam podczas uroczystości. Jest też pokazywana podczas okresu Wielkanocy *Gogoła* pędzla Tadeusza Popiela, przywieziona przed laty ze Lwowa. Składamy w tym miejscu gorące podziękowania gwardianowi Klasztoru, kustoszowi o. Jarosławowi Kani.

Uroczystą mszę świętą odprawił o. Czesław Gniewski, a homilię, bliską naszemu sercu, wygłosił o. Dominik Orczykowski, kapucyn, harcmistrz, kapelan harcerzy i lotników. Muzyczną oprawę uroczystości zapewniły Jaga Wrońska i Zespół „Promyki Krakowa” pod dyrekcją Romany Krzemień, a wzruszający kresowy wiersz Jerzego Miłochotka *Testament* recytował Wojciech Habela.

Msza św. była odprawiana w intencji zarówno żyjących Kresowian, jak i tych,

k którzy odeszli w ostatnim czasie, a szczególnie w ostatnim roku. Z wielkim żalem żegnaliśmy Osoby zasłużone dla naszego Oddziału, a wśród nich Danutę Trylską-Siekańską – krzemieńczankę, członka redakcji „Cracovia–Leopolis”, Zdzisławę (Dzidkę) Stopczyńską – niezastąpioną organizatorkę wszelkich uroczystości, Adama Gyurkovicha – wieloletniego prezesa Oddziału Krakowskiego, Jurka Bożyka – muzyka, naszego przyjaciela, towarzyszącego nam swą grą podczas różnych spotkań i uroczystości, Teresę Kondolewicz-Wilk, siostrzenicę Szczepcia – udzielającą się z wielkim oddaniem pomocy Polakom na wschodzie, Barbarę Szumską – członka redakcji „Cracovia–Leopolis” i osobę zajmującą się przez lata dystrybucją wydawnictw, Andrzeja Chlipalskiego – twórcę i wieloletniego redaktora „Cracovia–Leopolis”, drugiego prezesa Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, profesora Jerzego Kowalczuka, pierwszego prezesa Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, który szczegółowo opracował historię lwowskiego szkolnictwa.

Wszystkie te Osoby należało wspomnieć, albowiem Ich odejście było i jest dla każdego z nas i dla Towarzystwa ogromną stratą.

Po mszy świętej spotkaliśmy się w refektarzu, gdzie przy kawie i herbacie, słynnym bernardyńskim strogonowie oraz słodyczach oddaliśmy się wszelkim oficjalnościom i uczcie duchowej. Należy w tym miejscu wymienić wikarego o. Jonasza Podsiadłę, dziękując mu za całą logistyczną pomoc przy organizowaniu jubileuszowego spotkania.



Fot. Marian Bielecki

Nasz krakowski jubileusz objął honorowym patronatem prezes Zarządu Głównego TMLiKPW, pan Andrzej Kaminski, który uhonorował Złotymi Odznakami TMLiKPW osoby zasłużone w sposób szczególny dla naszego Towarzystwa. Wśród odznaczonych znalazły się panie Maria Konopka, Grażyna Potoczek, Grażyna Smoluchowska i Jaga Wrońska oraz panowie Kasper Bednarek, Konrad Firlej, Jerzy Kapłon, Marek Pelechacz, Ryszard Radko i Czesław Wilczyński. Trzydzieści osób otrzymało Odznaki XXX-lecia TMLiKPW, a Jaga Wrońska, Marian Bielecki, o. Dominik Orczykowski oraz Karol Wróblewski z zespołem Chawira otrzymali pamiątkowe Medale XXX-lecia TMLiKPW. Wśród ponad 120 gości zaszczycili nas: Bogusława Romaniewska – wiceprezes oddziału tarnowskiego TMLiKPW, Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków oraz Jacek Janiec – prezes Światowego Związku Żołnierzy AK Obwodu Lwowskiego w Krakowie.



Fot. Kasper Bednarek



Fot. Kasper Bednarek

Na zakończenie naszego spotkania była też wspaniała część artystyczna, którą zreżymował Wojciech Habela. „Promyki Krakowa”, Jaga Wrońska, zespół Chawira pod dyrekcją Karola Wróblewskiego umilali nam czas, w którym byliśmy znowu razem we Lwowie. Najwspanialszym, niezwykłym i niezaplanowanym zdarzeniem było zakończenie jubileuszowego spotkania. Otóż w rytm lwowskiej piosenki o Dominiku „porwał do tańca” Romę Krzemieniową i z wielkim wdziękiem tańczyli przez całą salę, wielokrotnie. W sercach naszych pojawiło się wzruszenie i... westchnienie „chwilo, trwaj”.

Szczególne podziękowania za pracę przy organizacji spotkania należą się też Czesławowi Wilczyńskiemu i Annie Stengl.

Miast zwykle wygłaszanych na takich spotkaniach podsumowań prezes Stanisław Czerny przybliżył w krótkiej opowieści Lwów i Kresy, natomiast sprawozdania z działalności Oddziału Krakowskiego znalazły się w 3. numerze kwartalnika „Cracovia–Leopolis”, który uczestnicy spotkania otrzymali bezpłatnie. Ma to sens, bowiem do opisu działalności można wracać; wiadomo, że składane ustnie relacje dość szybko umykają.



Fot. Marian Bielecki

W Krakowie i dalej

◆ W Krakowie 19 września 2019 r. zmarł pochodzący ze Lwowa Leszek Elektorowicz. Urodził się 29 maja 1924 r., jego matką była znana we Lwowie pianistka. Związany był z Armią Krajową. Kiedy okupanci zaczęli deptać mu po piętach, wyjechał ze Lwowa. Poeta, prozaik, eseista i tłumacz. W ramach ekspatriacji znalazł się w Krakowie, gdzie ukończył filologię angielską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaprzyjaźniony ze Zbigniewem Herbertem, który tuż po wojnie też mieszkał w Krakowie. Debiutował w Krakowie w 1947 roku w „Dzienniku Literackim”. Publikował pod pseudonimem, naprawdę nazywał się Lesław Witeszczak. Kiedy w latach 90. przeprowadzałem z nim rozmowę dla „Dziennika Polskiego”, odwiedziłem go w krakowskim mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej. W pokoju, w którym rozmawialiśmy, stał fortepian jego matki. Związany z ZAiKS-em, PEN Klubem, do 1983 r. ze Związkiem Literatów Polskich, w 1989 r. był współzałożycielem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jego utwory ukazywały się w najważniejszych pismach literackich takich jak: „Twórczość”, „Znak”, „Tygodnik Powszechny”, „W drodze”. Wśród książek wymienić należy: *Gwiazdy drwiące*, *Kontury*, *Jeden znak*, *Rejterada*, *Nienawiść*. Najnowszy tom jego wierszy nosi tytuł *Rąbek Królestwa*. W 2018 roku, z inicjatywy Biblioteki Kraków, we współpracy z Telewizją Kraków powstał – w ramach cyklu *Portrety literackie* – film *Modlitwa wieczorna. Leszek Elektorowicz* w reżyserii Tomasza Kamińskiego. Leszek Elektorowicz pochowany został na Cmentarzu Rakowickim.

◆ 12 listopada w Muzeum Regionalnym w Stalowej Woli otwarto wystawę *Kresy moje, utracone* poświęconą mieszkańcom Rozwadowa i Stalowej Woli, których ekspatriacyjne losy przywiodły tam ze wschodu – z Kresów. Inicjatorką i kuratorką wystawy jest pani Elżbieta Skromak, która zaprosiła do współdziałania przy organizowaniu ekspozycji

stalowowolski krąg kresowian skupiony w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Przy okazji warto wspomnieć, że corocznie w Stalowej Woli odbywają się Dni Kresów, których organizatorem jest TMLIKPW z prezesem Witoldem Michalskim na czele. Wystawa czynna będzie do 23 lutego 2020 r.

◆ Znany wstępną koncepcję Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej, które powstanie w pałacu Lubomirskich w Lublinie (dziś Wydział Politologii UMCS). W spotkaniu, w którym uczestniczyli m.in. Jarosław Sellin, sekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, europosłanka Elżbieta Kruk, Katarzyna Mieczkowska, dyrektor Muzeum Lubelskiego, oraz dr Leon Popek z Instytutu Pamięci Narodowej i prezes Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej w Lublinie, zostały zaprezentowane szczegóły dotyczące stworzenia sześciu bloków chronologicznych opowiadających o niemal tysiącletniej historii i kulturze Kresów Rzeczypospolitej począwszy od czasów piastowskich do okresu II wojny światowej. Muzeum będzie miało charakter przede wszystkim edukacyjny. Będzie to również pierwsza tego typu placówka muzealna w Polsce. Remont rozpocznie się jesienią 2020 r. Dotychczasowe zamknięte na potrzeby sal wykładowych pomieszczenia zostaną przekształcone w nowoczesną przestrzeń wystawniczą. Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej będzie oddziałem Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

◆ 1 grudnia, w Muzeum Regionalnym w Stalowej Woli odbyło się huczne spotkanie zatytułowane *Smaki Kresów – dziedzictwo i wspomnienia* zorganizowane przy udziale rzeszowskiego Urzędu Marszałkowskiego. O kuchni kresowej opowiedział Mateusz Werner z Rzeszowa, a Mieczysław Czytajto – myśliwy i pasjonat kuchni kresowych z Krakowa, wygłosił wykład zatytułowany *Przez kuchnię na Kresy – przez Kresy do kuchni*. Zwieńczeniem wykładu były „zajęcia praktyczne” – przygotowanie i degustacja *kuliszu kozackiego*, zupy, która przypomina krupnik. Na deser bawiono się z udziałem Kapeli Podwórkowej „Rozwadów” i oglądano wystawę o Kresach, o której piszemy wyżej.

Kaplica Męczenników Sybiru. Wybuduj grób swojemu krewnemu

Kaplica Męczenników Sybiru powstała w kościele pw. Narodzenia Pańskiego w Magadanie w Górach Kołymskich. To symboliczny grób tych, którzy nie wrócili z wywózki, i nie wiadomo, gdzie spoczywają. Można zgłosić nazwisko swojego krewnego, żeby miał w kaplicy swój krzyżyk, a jego nazwisko zostało wpisane do specjalnej księgi.

W magadańskiej świątyni gromadzone są pamiątki po łągiernikach, jak różaniec z chleba. Na kamieniach za ołtarzem znajdują się małe krzyżyki. Każdemu krzyżykowi odpowiada nazwisko jednego zesłańca. Karmelita o. Mirosław Ziemba OCD prosi, aby poinformować znajome rodziny Sybiraków o możliwości takiego upamiętnienia zmarłych na zesłaniu. Do o. Mirosława należy przekazywać nazwiska i imiona zesłańców, których groby są nieznanne, na adres ziemboł@op.pl. On sam zorganizuje na miejscu zawieszenie krzyżyków w Kaplicy i wpis do księgi.

Aleksandra Solarewicz

Źródło: miesięcznik „Na Karmel”, klasztor Karmelitów Bosych w Przemyślu, wrzesień 2019

Lwowianin poszukuje grobu pradziadka

Pan Zbigniew Pakosz ze Lwowa szuka grobu swojego pradziadka. Był nim szer. Stefan Łucyszyn, piekarz, ur. 1907 w Woli Wielkiej, gm. Mikołajów (pow. Żydaczów), przed wojną zamieszkały we Lwowie przy ul. Mącznej 23A. Stefan Łucyszyn zginął w I połowie września 1939 roku w Komarówce i tam ma znajdować się jego grób.

Stefan Łucyszyn zginął w Komarówce ok. 15 września 1939; wtedy została przez Niemców zdobyta Sądowa Wisznia (jej częścią jest obecnie dawna Komarówka). Tam ma się znajdować domniemany grób. Pan Zbigniew opowiada: „Pradziadek był prawdopodobnie pochowany razem z porucznikiem Matwiejem (Maciejem?) Fornalem i niejakim Witoldem Romanowiczem/Romaniewiczem (stopień wojskowy nieznan). Informację tę uzyskałem od swojej niezującej już prababci. Jako właściwą ścieżkę uznałem więc poszukiwania Matwieja Fornala ze względu na stopień oficerski. Por. Fornal dowodził 4 kompanią 1 baonu 98 PP 38 DP. Prawdopodobieństwo znalezienia się w jednej lokalizacji i wspólnego pochówku ze Stefanem Łucyszynem jest bardziej niż prawdopodobne.

Pakoszowie znaleźli potwierdzenie tego przekazu: „Rodzina por. Fornala była w Sądowej Wiszni kilka lat przed rozpoczęciem poszukiwań przez nas. Poszukiwali mogli na brzegu rzeki Wiszni. Grób w 1939 roku (z przekazu rodzinnego Fornali) zlokalizowany był przy młynie wodnym Graafa z Zagród. Miejscowi Polacy, z którymi rozmawiali, nie zapamiętali ani nie spisali personaliów rodziny, więc minęliśmy się z nimi. Potem dawaliśmy z tatą ogłoszenia w gazetach i internecie, ale nic to nie dało”.

Kwerendy w IPN, w internecie itd. nie przyniosły efektów. Poszukiwaną osobą **nie jest** Stefan Łucyszyn, syn Jana, ur. 1908 w Stryju woj. stanisławowskiego, który w 1939 trafił do sowieckiej niewoli, a jego „sprawę” w NKWD zamknięto w związku z rekrutacją do Wojska Polskiego. **Nie jest** to również Stefan Łucyszyn pochowany na cmentarzu w Dobrzykowie, gm. Gąbin.

Rodzina Pakoszków mogłaby dowiedzieć się wiele z CAW w Rembertowie, ale kwerendy są tam wykonywane jedynie do celów emerytalnych i kombatanckich. Poszukując także kontaktu z rodziną Fornali. Czy ktoś z Czytelników pomoże panu Zbigniewowi w znalezieniu grobu pradziadka?

Aleksandra Solarewicz

I strona okładki:

Bożonarodzeniowa karta świąteczna wg obrazu pędzla Stanisława Tondosa (1854–1917) przedstawiająca choinki świąteczne przez Kaplicą Boimów we Lwowie



**Biblioteka
Kraków**

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Stanisław Czerny

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – prezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, Adam Guyrkowich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redakcja:

Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiestacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

O kładka BOŻONARODZENIOWA KARTA ŚWIĄTECZNA I	Rozmowa z Mariuszem Olbromskim	43
Słowo od redakcji IDA ŚWIĘTA!	Zbigniew Wawszczak ZDZISŁAW SZYŁEYKO	46
Jerzy Masior, Krystyna Angielska, Mariusz Olbromski KOLĘDY LWOWSKIE	1 Michał Piekarski KAROL MIKULI – RÓWIEŚNIK STANISŁAWA MONIUSZKI	50
Rafał Żebrowski PIERWSZA AKADEMIA ZBIGNIEWA HERBERTA	3 Beata Bednarz WSPOMNIENIA JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO – „ATAMANA ŁOBODY”	53
Aleksandra Solarewicz LWOWSKA WYPRAWA „WKURZONYCH PRAWNIKÓW”	7 Jarosław Krasnodębski JÓZEF MALACH – AUTOR POMNIKA LEGIONISTY W STANISŁAWOWIE	55
Antoni Wilgusiewicz WKŁAD LWOWSKIEGO ŚRODOWISKA HISTO- RYCZNEGO W BADANIA DZIEJÓW GÓRNEGO ŚLĄSKA	12 Eugeniusz Sała XVI „ŚWIATEŁKO PAMIĘCI DLA CMENTARZA ŁYCZAKOWSKIEGO” WE LWOWIE	57
Ewelina Hrycaj-Małańczak, Paweł Brzegowy DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT DZIAŁALNOŚCI LWOWSKIEGO UNIWERSYTETU TRZECIEGO WIEKU	20 Paweł Brzegowy SPRAWOZDANIE Z OBCHODÓW JUBILEUSZU 25-LECIA LWOWSKIEGO UNIWERSYTETU TRZECIEGO WIEKU	60
Krzysztof Kołtun OD OSTRÓWEK DO KOWŁA	25 Karolina Grodziska NOSTALGICZNIE, PRZEDŚWIĄTECZNIE, APE- TYCZNIE... O ZESZYCIE Z PRZEPISAMI KULI- NARNYMI	62
Piotr Boroń CRACOVIA-LEOPOLIS WG ADAMA HR. STADNICKIEGO	26 Anna Stengl, Janusz M. Paluch TRZYDZIEŚCI LAT JAK Z BICZA STRZELIŁ!...	64
Poezja Franciszek Haber DO LWOWA ♦ KRZEMIENIECKI KIRKUT ♦ OSOBLIWY OBRAZ ♦ WIGILIA	29 Franciszek Haber MOJA ULICA	67
Proza Marian Rosco Bogdanowicz ACH TE LWOWSKIE BALE...	37 W Krakowie i dalej KAPLICA MĘCZENNIKÓW SYBIRU. WYBUDUJ GRÓB SWOJEMU KREWNEMU LWOWIANIN POSZUKUJE GROBU PRADZIADKA	68
Rozmowa Anna Gordijewska		68